83. ROCZNICA

Mieszkańcy stolicy uczcili pamięć bohaterskiego zrywu w getcie warszawskim

STR. 5



FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

SPORTOWY24

Piotr Zieliński bohaterem Interu Mediolan. Tytuł mistrza jest coraz bliżej

STR. 21



dziś **SPORTOWY24**

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 20.04.2026
Nr 32 (2543)

Cena
6,00 zł (w tym 8% VAT)

Informacje z Kraju i ze Świata
www.i.pl

NR ISSN 1898-3081
NR INDEKSU 349-682



FOT. ADAM JANKOWSKI

Czy PiS się rozpadnie?

Wyjście Morawieckiego z PiS może być ryzykowne dla obu stron. Jarosław Kaczyński miałby wtedy po prawej stronie dwie Konfederacje, po lewej – partię Morawieckiego **STR. 4**

BLISKI WSCHÓD

W Iranie władzę przejęli twardogłowi. Pokój zagrożony

STR. 3

KOSMOS

Po co wracać na Księżyc, czyli misja Artemis

STR. 8

WYWIAD

Tribbs: Jeśli chcę coś osiągnąć, to muszę się za to zabrać teraz

STR. 14

REPORTAŻ

„Diabeł w mundurze" – tak policjanci opisują swego byłego szefa

STR. 16

eprasa.pl 3c840005c8

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa **12 312 53 88**
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W piątek **magazyn Puls**

Wiosenna susza pustoszy nasze ogrody i pola. Nawet rzadkie opady nie pomagają roślinom. Musimy nauczyć się zatrzymywać wodę



Andrzej Kłopotowski
publicysta

EAST SIDE STORY

Od września edukacja zdrowotna wejdzie - jako przedmiot obowiązkowy - do planów lekcji. Edukacja seksualna pozostanie komponentem nieobowiązkowym. Pytanie - dlaczego zdrowie zdrowiu będzie nierówne?

Przedmiot poświęcony zdrowiu pojawił się w szkołach w roku szkolnym 2025/2026. Jednak nieobowiązkowo. A skoro nieobowiązkowo, wiadomym było, że nie spotka się z zainteresowaniem pobierających naukę. Od nowego roku szkolnego ma się to zmienić. To dobry ruch. Podobnie jak zapowiadany zakaz używania telefonów komórkowych w szkołach. W czasach, gdy palmę pierwszeństwa przejmują właśnie komórki, laptopy i inne elektroniczne ustrojstwa wiedza na temat równowagi - bo tak to można określać - nie tylko fizycznej, ale i psychicznej jest niezwykle ważna. Są tacy, którzy będą się śmiać, słysząc o uzależnieniach (szeroko rozumianych, a nie tylko w sposób tradycyjny) czy depresji wśród młodych. Ale naprawdę nie ma w tym niczego śmiesznego. Jeśli przedmiot ma pomagać, ma mówić o problemach, zrobić może wiele dobrego w życiu tych, którzy często nie zdają sobie sprawy, że coś jest nie tak.

Zresztą argumenty te podnoszą i nauczyciele, i specjaliści. Jednocześnie jednak nie idzie za nim kolejny, odważny krok. Tzw. komponent poświęcony edukacji seksualnej pozostanie komponentem nieobowiązkowym. Tu daje się słyszeć, że to zagadnienia, które budzą kontrowersje i wywołują napięcia wśród rodziców, nauczycieli i społeczności szkolnej. Z prawej strony sceny politycznej dawało się słyszeć mnóstwo bzdur, że ktoś chce seksualizować młodzież czy uczyć dzieci masturbacji.

Można na pewne sprawy zamykać oczy. Tylko po co? Zapewniam państwa z prawicy, że nawet dzieci w przedszkolu wiedzą czym różni się chłopak od dziewczynki. Zabraniając, nie uchronicie nikogo przed byciem osobą heteroseksualną czy homoseksualną. To kwestia każdego z nas, a nie - jak mówicie - wyboru ideologii. I nikomu o tym decydować. Trzeba rozmawiać, trzeba edukować. Mamy XXI wiek. No, chyba że zatrzymaliście się na etapie, że dzieci przynosi bocian albo znajduje się je w kapuście.

Determinacja prezydenta w ochronie Zondacrypto była silniejsza niż interes Polaków . Rząd nadal będzie szukał rozwiązań, które ochronią klientów firm kryptowalutowych przed stratami

Adam Szłapka, rzecznik rządu

POLITYKA: DYLEMATY KISIELA I NASZE



Liliana Sonik
publicystka

Przyszli do nas kiedyś Kisiel i Szpot, czyli Stefan Kisielewski i Janusz Szpotański. „Szpocie - zagaił Kisiel - napisałem mowę na twój pogrzeb. - Znakomicie, to mi ją przeczytaj! - Nie mogę, ripostuje Kisiel, to musi być niespodzianka!" Mowy jednak nie było: Kisiel zmarł dwa lata przed Szpotańskim.

Kisiel był wybitnym felietonistą. Opanował do perfekcji sztukę podtekstów, którymi okładał władze PRL. Cenzura tego nie wychwytywała, zresztą nie miała się czego czepić, a całą inteligencką Polskę rozśmieszały do łez. A czasem do łez wzruszały.

W roku 1984 Kisiel napisał tekst „Wigilia skąpa". Zacytuję obszerne fragmenty, bo jak sądzę, dają do myślenia. Autorowi zapewne spodobałby się tezy niedawno wydanej książki Roberta D. Kaplana: „Tragizm polityki naszych czasów. Strach, fatum i brzemię władzy".

Kisiel natomiast pisze: „Polityka jest dyscypliną samą w sobie, niejako absolutną, w swej autonomiczności i zimnej logice tak doskonałą jak matematyka. [...] Tylko że blask polityki jest nieco, albo i bardzo diaboliczny. Co tu dużo mówić: polityka wysokiego szczebla to w dużym stopniu domena diabła. Kieruje się własną (nie)moralnością, poświęca jednostki dla zbiorowiska, tysiące istnień ludzkich dla milionów, miliony dla miliardów, mowy używa do ukrycia myśli, a prawdę słów poświęca dla sukcesu czynów. Diabeł jest patronem wielkiej polityki, choć nie lubi o tym mówić ani Kościół, ani historia narodów, ani nawet „Tygodnik Powszechny". Wielbi się w historii wielkich gwałcicieli, jak Cezar, Aleksander Macedoński, czy Napoleon, pomijając raczej dyskretnie ofiary gwałtu, ich liczbę oraz cierpienia. Liczy się 'dobra robota', a jaka - to już po latach czy stuleciach nieważne. [...] Wincenty Rzymowski, wielki przeciwnik endecji, napisał broszurkę „Roman Dmowski czciciel diabła", gdzie zarzucił Dmowskiemu, że ceni wyłącznie siłę. A cóż ma cenić i wielbić zawodowy polityk? Skutek taki, że Dmowski, w pewnym okresie niewątpliwie najbystrzejszy polski pisarz i koncepcjonista polityczny (twórca usystematyzowanej i historycznie umotywowanej koncepcji antygermańskiej) nie ma w Polsce ulicy ani pomniczka. [*przypis: obecnie istnieje pomnik Dmowskiego w Warszawie] Lepiej powiodło się Piłsudskiemu (ma swój kopiec i swoją kryptę), ale on umiał pilnie ukrywać momenty, gdy wyłącznie „czcił siłę", i zawsze wtedy dbał o zachowanie zewnętrznej postawy romantyka. [...] Nasuwa się pewne zasadnicze pytanie: czy mamy czcić ludzi skutecznych, czy ludzi porządnych? Czy tych, którym się udało, czy tych, co tylko chcieli dobrze? I co na to etyka, religia, Kościół? Skoro polityka jest w dużej części domeną diabła, to w jakim stopniu chcąc zrobić coś dla narodu, można z tym diabłem wejść w konszachty? Bo przecież diabeł jest składnikiem świata, a więc także religii. [...]

Jeśli polityka jest w dużym stopniu dziedziną diaboliczną, bo kieruje się nie moralnością indywidualną, lecz zbiorową, opartą na zasadzie „cel uświęca środki", to w jakim stopniu, właśnie z pobudek np. patriotycznych, możemy się nią zajmować? Inaczej mówiąc: dokąd może sięgać nasz pakt zawarty z diabłem?! [...] Churchill nie kazał ewakuować ludności cywilnej miasta Coventry, choć wiedział, że Niemcy przygotowują wielki nalot, ale nie chciał zdradzić, że zna ich szyfr.

Roosevelt i Churchill mają dziś pomniki. Ale czy są w niebie, czy całkiem gdzie indziej? I dlaczego? Chciałbym rozstrzygnąć sobie te wszystkie wątpliwości... "

NIE LĘKAJCIE SIĘ. TYM RAZEM NA WĘGRZECH



Marek Mazurkiewicz
publicysta

Nie lękajcie się" - to słynne zawołanie, wypowiedziane przez Jana Pawła II w czasie homilii inaugurującej jego pontyfikat 22 października 1978 r., do dziś zachowuje swoją symboliczną moc. Wtedy i dziś traktowane jest nie tylko jako główne hasło jego teologicznego programu, ale także jako wezwanie, które adresował do narodów państw Europy Środkowowschodniej, pogrążonych wtedy w uścisku komunistycznych reżimów.

Papież Polak ten apel wzmocnił w Warszawie w 1979 r., kiedy na Placu Zwycięstwa wołał, by Duch odnowił oblicze ziemi. W ocenach historyków i politologów wsparcie moralne, jakie Jan Paweł II udzielał polskiej „Solidarności" oraz innym ruchom dysydenckim w krajach byłego bloku wschodniego w latach 80. ubiegłego wieku, było jednym z kluczowych czynników, które osłabiały komunizm.

Wsparcie to, w połączeniu z determinacją ówczesnego prezydenta USA, Ronalda Reagana oraz katastrofą gospodarczą państw komunistycznych, zbudowało „masę krytyczną", która pozwoliła wywołać w Europie Środkowowschodniej falę demokratyzacji. Ostatecznie jednak to brak lęku dał siłę Polakom, Węgrom, Czechom, Słowakom, Niemcom i Rumunom, by jesienią 1989 r. obalić mur dzielący kontynent.

Do tej silnej symboliki nawiązywał bezpośrednio Péter Magyar, który w minioną niedzielę odniósł spektakularne zwycięstwo wyborcze na Węgrzech, pokonując Viktora Orbána w najważniejszych w tym roku wyborach w Unii Europejskiej.

Słowa „Nie lękajcie się", po węgiersku „Ne féljetek", były jego głównym hasłem wyborczym, ale także wezwaniem do odwagi wobec władzy i mobilizacji do udziału w demonstracjach. Słowa te dały Węgrom nadzieję, że ich kraj ma szansę na powrót do normalności.

Tisza otrzymała ogromny mandat zaufania. Zdobywając 137 z 199 mandatów w węgierskim parlamencie, partia Magyara skorzystała z mechanizmów wyborczych, które miały wspierać Fidesz Viktora Orbána. Wygrana wyborcza daje Magyarowi szansę na zmianę węgierskiego ustroju oraz jego ponowną demokratyzację.

Zwycięstwo Tiszy na Węgrzech ma też wielkie znaczenie dla demokracji na świecie - jest sygnałem, że populizm gardzący demokratycznymi wartościami ostatecznie przegrywa z siłą ludu bez lęku.

eprasa.pl 3c840005c8

Grzegorz Kuczyński

Strzały w Ormuz i zamrożone rozmowy

W najbliższą środę 22 kwietnia wygasa dwutygodniowe zawieszenie broni między siłami USA i Izraela a Iranem. Tymczasem, zamiast kolejnej rundy rozmów, mamy usztywnienie stanowiska Teheranu. Co widać przede wszystkim w Cieśninie Ormuz, ale też w kwestii rokowań. Wygląda na to, że twardogłowi generałowie przejęli kontrolę nad działaniami reżimu, także dyplomatycznymi. To nie wróży dobrze perspektywom zawarcia pokoju

W ostatnich dniach dowódca Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej (IRGC) generał Ahmad Vahidi oraz członkowie jego najbliższego otoczenia prawdopodobnie przejęli - przynajmniej tymczasowo - kontrolę nie tylko nad działaniami zbrojnymi Iranu, ale także nad stanowiskiem negocjacyjnym Teheranu - twierdzi w najnowszym raporcie amerykański Institute for the Study of War (ISW).

Za taką tezą stać ma przede wszystkim nagła zmiana stanowiska Iranu w sprawie Cieśniny Ormuz. Jeszcze w piątek szef MSZ Abbas Aragczi ogłosił, że cieśnina jest „całkowicie otwarta" dla ruchu handlowego. Nie minęła doba, a marynarka wojenna IRGC zaatakowała kilka statków handlowych i ogłosiła, że żadnemu statkowi „żadnego typu ani narodowości" nie wolno przepływać przez cieśninę.

Media powiązane z IRGC ogłosiły również w sobotę, że Iran nie zgodził się na udział w kolejnej rundzie negocjacji ze Stanami Zjednoczonymi z powodu „nadmiernych" żądań USA.

Nadzieje na wznowienie żeglugi przez Cieśninę Ormuz okazały się krótkotrwałe, gdy w sobotę siły irańskie zaatakowały co najmniej trzy statki cywilne po tym, jak Teheran ogłosił, że wycofuje swoją decyzję o ponownym otwarciu trasy.

Przemawiając w Waszyngtonie, Donald Trump powiedział: „Zrobili mały numer... Chcieli znowu zamknąć cieśninę, wiecie, tak jak to robili od lat. I nie mogą nas szantażować".

Po ostatnich incydentach siły morskie IRGC późnym wieczorem w sobotę ostrzegły, że każdy statek zbliżający się do Cieśniny Ormuz zostanie potraktowany jako cel. Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej poinformował, że cieśnina pozostanie zamknięta do czasu zniesienia przez USA blokady irańskich portów.



FOT. PAP/EPA.

Takie propagandowe plakaty można zobaczyć na ulicach Teheranu

Amerykańska blokada statków wpływających do irańskich portów i wypływających z nich trwa od poniedziałku. Dotąd 23 jednostki, które próbowały ją przełamać, zawróciły na polecenie USA - poinformowało w sobotę Dowództwo Centralne USA (CENTCOM). Od 11 kwietnia amerykańskie siły prowadzą też działania rozminowywania cieśniny Ormuz. Dowódca CENTCOM, admirał Bradley Cooper, potwierdził w piątek, że operacja trwa, nie podając liczby min rozmieszczonych przez Iran. Przewodniczący irańskiego parlamentu Mohammad Bagher Ghalibaf oświadczył w sobotę wieczorem w wywiadzie telewizyjnym, że Teheran uznaje amerykańskie próby rozminowania Ormuzu za „naruszenie zawieszenia broni" - podała Al-Jazeera.

Los wznowionych bezpośrednich spotkań między Waszyngtonem, Teheranem i pakistańskimi mediatorami pozostaje niejasny. W piątek 17 kwietnia Trump wspomniał o postępach i powiedział, że negocjacje będą kontynuowane w weekend. Jednak pomimo spekulacji, że strony mogą spotkać się ponownie 20 kwietnia w Islamabadzie, nie ogłoszono żadnej nowej daty.

REKLAMA 0011470603



eprasa.pl 3c840005c8

Polska
Poniedziałek, 20.04.2026

Gorąco w PiS. Partii grozi rozłam

Wyjście Mateusza Morawieckiego z Prawa i Sprawiedliwości może być ryzykowne dla obu stron. Jarosław Kaczyński miałby wtedy po swojej prawej stronie dwie Konfederacje, po lewej – stowarzyszenie Morawieckiego. Aż trzech konkurentów na prawicy. Morawiecki też ma sporo do stracenia. Nie wiadomo, czy zdąży zbudować silną partię przed wyborami, do których zostało zaledwie półtora roku

Dorota Kowalska



FOT.SŁAWOMIR KOWALSKI

Po spotkaniu władz PiS, rzecznik prasowy partii Rafał Bochenek poinformował, że stowarzyszenie Mateusza Morawieckiego jest sprzeczne ze statutem partii

Takiej sytuacji w Prawie i Sprawiedliwości dawno nie było. Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie: w środę Mateusz Morawiecki ogłosił, że zakłada Stowarzyszenie Rozwój Plus.

Prezesem zarządu został on sam, wiceprezesem - Marcin Horała. Izabela Antos - skarbnikiem, a Paweł Jabłoński - członkiem zarządu. Michał Dworczyk objął funkcję sekretarza. Została powołana także Komisja Rewizyjna, w skład której weszli Piotr Müller i Krzysztof Szczucki. Do stowarzyszenia chce się zapisać ponoć około czterdziestu polityków PiS, także europarlamentarzystów. Deklarację członkowską złożył chociażby prezes Orlenu, Daniel Obajtek.

Kiedy ten news przetoczył się przez media, wszyscy czekali na reakcję prezesa Kaczyńskiego. Spekulowali: puści to Morawiekciemu płazem, czy powie stanowczo „nie". O tym, że Morawiecki może zdecydować się na wyjście z PiS-u mówiło się od miesięcy. Fakt, że prezes Kaczyński wskazał Przemysława Czarnka jako kandydata na przyszłego premiera pewnie dało Morawieckiemu do myślenia. Prezes swoją decyzją pokazał na kogo stawia i nie był to ani Morawiecki ani jego ludzie.

Tymczasem media od tygodni rozpisywały się o walce dwóch frakcji w Prawie i Sprawiedliwości, właśnie ludzi Morawieckiego, nazywanych harcerzami i grupą tzw. maślarzy, na czele tych drugich stoją Przemysław Czarnek, Patryk Jaki, Jacek Sasin i Tobiasz Bocheński. Spodziewano się, że wcześniej dojdzie do otwartej konfrontacji, pozostało pytanie: jak zachowa się prezes.

Wszystko stało się jasne już w czwartek wieczorem. Po spotkaniu władz PiS, rzecznik prasowy partii Rafał Bochenek poinformował, że stowarzyszenie Mateusza Morawieckiego jest sprzeczne ze statutem partii.

Prezes Kaczyński w piątek podczas konferencji prasowej nie pozostawił złudzeń. Pokreślił, że statut PiS wyraźnie zakazuje działalności w innych organizacjach politycznych.

Ocenił, że porównywanie stowarzyszenia Mateusza Morawieckiego z innymi stowarzyszeniami, w których działają posłowie PiS, nie ma sensu, bo „to jest jakby inny wymiar".

– Trzeba wybrać - i jasno mówię - że dla ludzi, którzy by się w to angażowali, miejsc na naszych listach nie będzie. I będą wyciągane także inne wnioski wynikające ze statutu związane z tego rodzaju aktywnością - oświadczył.

Prezes PiS poinformował ponadto, że proponował Mateuszowi Morawieckiemu, by wystąpił razem z Przemysławem Czarnkiem, kandydatem PiS na premiera.

– Spotkałem się z odmową. Później taka propozycja padła także w trakcie tej naszej narady, też odpowiedź była taka, że będzie rozmowa ze mną na ten temat. Ja jestem gotów rozmawiać, ale to jednak prowadzi do wniosku, że to właśnie powołanie, w partyjnym tego słowa znaczeniu, pana prof. Czarnka na funkcję kandydata na premiera jest główną przyczyną tych wszystkich wydarzeń -ocenił Jarosław Kaczyński.

Teraz do gry przystąpili liderzy poszczególnych frakcji. Mateusz Morawiecki w sobotę rano pobiegł do radia RMF.

- Jestem i będę w Prawie i Sprawiedliwości. Chcę się przysłużyć do tego, żeby odsunąć ten rząd od władzy – mówił. - Mamy stowarzyszenie. Na pewno będzie działało. Działa na polu eksperckim, nie na polu politycznym. Jest spójne z celami i zasadami ideowymi Prawa i Sprawiedliwości - dodał.

Były premier zapewnił, że jest „absolutnie spokojny" o to, że członkowie jego stowarzyszenia znajdą się na listach wyborczych Prawa i Sprawiedliwości.

- Będę dążył do tego, żeby posłowie Prawa i Sprawiedliwości byli jeszcze liczniej reprezentowani w przyszłym parlamencie. Po to codziennie wydaję jedną bitwę temu rządowi - stwierdził Morawiecki.

Odniósł się też do zarzutów, że działanie jego stowarzyszenia jest niespójne z zasadami i celami PiS-u. Zaatakował przy tym najbardziej radykalne skrzydło swojej partii.

- Są ludzie, którzy mówią o Polexicie. To jest niespójne z zasadami ideowymi i z celami Prawa i Sprawiedliwości. To jest na pewno niespójne z naszym statutem. Działanie na niwie poszerzania elektoratu na pewno przysłuży się naszym głównym celom - zapewniał.

Dopytywany o to, jaka będzie jego polityczna przynależność za rok, Morawiecki stwierdził jednoznacznie: „Będę cały czas w Prawie i Sprawiedliwości".

Były premier nie ukrywał ambicji reformowania PiS.

- Tak, chcę jak najmocniej odnowić nasze sposoby dotarcia do wyborców - powiedział. Ostrzegał przy tym przed losem ugrupowań, które tracą dynamikę.

Tego samego dnia wieczorem Patryk Jaki, europoseł i wiceprezes PiS, udzielił wywiadu Telewizji Republika.

– Zastanówmy się dziś, czy ta cała akcja z powoływaniem nowego stowarzyszenia przez Mateusza Morawieckiego pomaga PiS, czy pomaga bardziej Platformie Obywatelskiej. Słyszymy teraz cały czas, że PiS się dzieli, że PiS się kłóci i widzimy, jakie nastroje panują wokół tej sytuacji - mówił. - Nasz przywódca Jarosław Kaczyński zdecydował, że w konkretnej grze wyborczej w najbliższym czasie kapitanem naszej drużyny jest Przemysław Czarnek. I wydaje mi się, że to jest główne źródło problemu - dodał.

Europoseł zauważył, że „są niestety osoby, które zaczynają kwestionować decyzje pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego".

- Niestety ta grupa osób określa siebie mianem tak zwanych „normaliów", a na pozostałych członków Prawa i Sprawiedliwości patrzy w sposób obraźliwy dla nas - mówił.

Marcin Horała, jednym z „normaliów" należących do władz stowarzyszenia Rozwój Plus natychmiast zamieścił wpis, którym podgrzał emocje wokół wewnętrznych sporów w partii.

„Dziś w mediach dwa wywiady wiceprezesów PiS. Poranny Mateusza Morawieckiego w RMF24 i wieczorny Patryka Jakiego w TV Republika. Polecam odsłuchanie obydwu jeden po drugim i samodzielne wyrobienie sobie opinii. Widać jak na dłoni kto wycisza spory, chce mówić o tym, jak prezentować pozytywny program dla Polaków i odbierać poparcie Tuskowi w każdej grupie elektoratu. Kto zaś chce zostawić Tuskowi wolne pole do łowienia we wszystkich grupach wyborców poza radykałami, a ataki kieruje głównie do wewnątrz obozu. Widać też oczywiście, jak różnie mamy naostrzone kredki w naszym piórniku" – napisał na portalu X.

W sukurs poszedł mu Piotr Muller, człowiek Morawieckiego. OIcenił w swoim wpisie, że „dzisiaj jak na dłoni widać różnicę podejść".

„Premier Mateusz Morawiecki mówi o tym jak poszerzać poparcie dla PiS, jak wrócić do tego co było możliwe w 2019 roku. Mówi o jedności. Duet Patryk Jaki i Jacek Kurski (rozbijający PiS w 2011) w skoordynowanych wypowiedziach w swoich wywiadach próbują wbić ponownie klin w nasze środowisko. Panowie przestańcie. Screen nieprzypadkowy" - dodał.

Paweł Jabłoński napisał zaś, odnosząc się do Patryka Jakiego: „Czy to prawda, że pan ze zdjęcia postanowił dziś udzielić premierowi Morawieckiemu wykładu? I to wykładu o tym jak przekonywać wyborców, by głosowali na opozycję? Absolutne kino" - dodał.

I tu zareagował Tobiasz Bocheński, europoseł i wiceprezes PiS, frakcja „maślarzy".

„Sorry, Marcin Horała. Doprowadziliście do sytuacji w której wszystkie media w Polsce rozpisują się o podziale w PiS, a teraz udajesz, że nic się nie stało? Założyliście polityczne stowarzyszenie i je ogłosiliście, nie tylko bez zgody, ale i wbrew woli naszego lidera pana prezesa Kaczyńskiego, a ty mówisz o jedności? Odmówiliście zastosowania się do wyrażonych publicznie i bezdyskusyjnie instrukcji pana prezesa Kaczyńskiego, a mówicie o lojalności względem Prawa i Sprawiedliwości?" - zapytał.

Zwracając się do Marcina Horały stwierdził, że „teraz wchodzisz sobie na X i obrażasz wiceprezesa partii Patryka Jakiego, który nawoływał w TV Republika o uszanowanie woli prezesa Kaczyńskiego? Co to ma być?" - zapytał.

Tobiasz Bocheński ocenił, że „założyliście stowarzyszenie, żeby zdobywać nowych wyborców poza strukturą Prawa i Sprawiedliwości i myślicie, że - mówiąc twoim językiem - wyborcy oraz politycy to nienajostrzejsze kredki, którzy nie rozumieją co się dzieje?".

„Nie ma takiej aktywności politycznej, której nie można realizować w ramach PiS w celu przyciągania nowych wyborców. Gdy się zakłada nowy podmiot polityczny, to się pracuje na nową markę, a nie na PiS. A gdy się dzieli prawicę, to Tusk wygrywa wybory. Żeby to pojąć nie potrzeba nawet temperówki. Proszę, zastosuj się w ramach lojalności do wskazań pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego" - dodał wiceprezes PiS.

Na sytuację zareagował też sam Patryk Jaki.

„Ludzie MM (Mateusza Morawieckiego) postanowili dziś wieczorem wulgarnie mnie obrażać (kredki, krzywe zdjęcia (tak robi Agora), nie używając żadnego merytorycznego argumentu" - napisał.

Widać, że atmosfera w PiS-ie jest napięta. Podobno w poniedziałek Jarosław Kaczyński ma spotkać się z Mateuszem Morawieckim, ten drugi jest pewny, że to będą dobre rozmowy, a on i jego ludzie pozostaną w PiS. Tak naprawdę wyjście Morawieckiego z Prawa i Sprawiedliwości może być trudne dla obu stron. Jarosława Kaczyński miałby wtedy po swojej prawej stronie dwie Konfederacje, po lewej - stowarzyszenie Morawieckiego. Aż trzech konkurentów na prawicy. Morawiecki, który jednoznacznie kojarzony jest z PiS, jest odpowiedzialny za osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy, też ma sporo do stracenia. Nie wiadomo przecież, czy zdąży zbudować silną partię przed wyborami, do których zostało zaledwie półtora roku. Rozbitą i rozproszoną prawicę nie premiuje także system D'Honda. Więc obaj panowie, i Kaczyński i Morawiecki, toczą ryzykowną grę.

eprasa.pl 3c840005c8

Warszawiacy uczcili pamięć powstańców z getta

W niedzielę w południe zawyły syreny alarmowe dla uczczenia 83. rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim. Pod Pomnikiem Bohaterów Getta oddano hołd ofiarom zrywu

Karolina Wrońska

Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN po raz kolejny zorganizowało społeczno-edukacyjną akcję Żonkile, która jest częścią obchodów rocznicy. Pracownicy muzeum, wolontariuszki i wolontariusze wręczają na ulicach stolicy żonkile.

Jak przypomina POLIN, powstanie i wojnę przeżyła ledwie garstka Żydówek i Żydów. „Wśród nich był Marek Edelman i to właśnie od jego gestu - składania każdego 19 kwietnia żółtych kwiatów pod pomnikiem Bohaterów Getta - wziął się symbol akcji" - tłumaczy muzeum. Jak dodało, „nasze żonkile nawiązują do tej tradycji. Gdy je nosisz, pokazujesz, że łączy nas pamięć o walczących i tysiącach cywilów ukrywających się w ruinach getta".

W niedzielne południe w uroczystości pod Pomnikiem Bohaterów Getta upamiętniono ofiary tragicznego zrywu, wśród uczestników m.in. prezydent Karol Nawrocki, marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty oraz marszałek Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska.

Z okazji rocznicy wybuchu powstania politycy i instytucje umieścili w mediach społecznych okolicznościowe wpisy.

Kancelaria prezydenta na platformie X przypomniała, że powstanie w getcie warszawskim było pierwszym powstaniem miejskim w okupowanej przez Niemców Europie, które było jednocześnie największym zbrojnym zrywem Żydów podczas II wojny światowej. „Wspominamy dziś bohaterów i ofiary tamtych wydarzeń. Cześć ich pamięci" - czytamy we wpisie kancelarii premiera. Senat podkreśla, że pamięć o powstaniu w getcie i jego bohaterach jest nieodłączną częścią naszej wspólnej historii. Szefowa MEN Barbara Nowacka zwróciła uwagę, że powstanie w getcie warszawskim było aktem odwagi i determinacji wobec niemieckiego terroru.

Hołd pamięci i „niezłomności tych, którzy w 1943 roku walczyli z uciskiem" oddała też ambasada USA w Polsce.

19 kwietnia 1943 roku dwa tysiące Niemców wkroczyło do getta, by je ostatecznie zlikwidować. Przeciwstawiło się im kilkuset młodych ludzi z konspiracyjnych jednostek - Żydowskiej Organizacji Bojowej (ŻOB) i Żydowskiego Związku Wojskowego (ŻZW). Wielu żydowskich bojowników wiedziało, że nie mają szans, ale woleli zginąć w walce, by ocalić godność. Powstańcy, pod dowództwem Mordechaja Anielewicza, byli wycieńczeni i słabo uzbrojeni. Pozostali mieszkańcy getta, około 50 tysięcy cywilów, przez wiele tygodni ukrywali się w kryjówkach i bunkrach.

Przez cztery tygodnie Niemcy równali getto z ziemią, paląc dom po domu. Schwytanych zabijali lub wywozili do obozów zagłady. 8 maja Anielewicz i kilkudziesięciu powstańców zostało otoczonych i popełniło samobójstwo. Nielicznym Żydom udało się wydostać kanałami z płonącego getta. 16 maja getto warszawskie przestało istnieć. PAP



FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

Symbolem zrywu Żydów w warszawskim gettcie od lat są żółte żywe lub papierowe żonkile

MATERIAŁ INFORMACYJNY KONGRESU ARCHITEKTURY POLSKIEJ 0011501894

W Warszawie **o wyzwaniach polskiej architektury i zawodu architekta**

W dniach 14-15 maja br. Muzeum Historii Polski w Warszawie stanie się areną debat związanych z kondycją i wyzwaniami polskiej architektury oraz zawodu architekta. Kongres Architektury Polskiej będzie największym wydarzeniem środowiskowym w Polsce, integrującym wszystkich jego członków, a jego główny cel to wypracowanie założeń do regulacji ustawowych, tworzących Polską Politykę Architektoniczną oraz wzmocnienie roli architektury oraz środowiska zbudowanego w społecznej świadomości.



Legislacyjne mechanizmy poprawy jakości przestrzeni publicznej

Zbliżający się Kongres Architektury Polskiej odbywający się pod hasłem: „Przestrzeń – wartość i odpowiedzialność" jest wspólnym przedsięwzięciem całego środowiska architektonicznego reprezentowanego przez Izbę Architektów RP, Stowarzyszenie Architektów Polskich (SARP) oraz Narodowy Instytut Architektury i Urbanistyki (NIAiU). Pretekstem dla organizacji dwudniowych obrad jest potrzeba zbudowania i wzmocnienia świadomości społecznej na temat roli architektury oraz środowiska zbudowanego. Narzędziem do tego będzie stworzenie przestrzeni do dyskusji o kondycji polskiej architektury oraz do ukazania przemian, jakie dokonały się w niej w ostatnich dekadach. Organizatorom zależy na tym, aby wykazać, że architektura tworzy wartość większą od wartości samych wznoszonych obiektów, a zakres jej oddziaływania jest znacznie szerszy – między innymi buduje przestrzeń dla pracy i życia, czy rozwiązuje problemy społeczne. Podobnie jest z zawodem architekta, którego zadaniem jest również ochrona dziedzictwa narodowego, a także budowa nowego – dla przyszłych pokoleń. Z tego powodu tematem wiodącym kongresu będzie wypracowanie założeń wprowadzenia do ładu prawnego pakietu regulacji ustawowych tworzących Polską Politykę Architektoniczną.

O wpływie architektury na życie człowieka i społeczeństwa

Niezależnie od głównego wątku debaty w kilkunastu panelach dyskusyjnych, prowadzonych w trzech ścieżkach tematycznych i przygotowanych przez Radę Programową, do której zostali zaproszeni uznani architekci oraz osoby zajmujące się na co dzień tematyką architektury i urbanistyki, omówione będą kluczowe zagadnienia dla środowiska architektonicznego. Podczas dwudniowych obrad rozmowy toczyć się będą wokół wpływu architektury na obszary codziennego funkcjonowania człowieka oraz społeczeństwa, między innymi: kształtowania estetyki, przestrzeni i gustów społecznych, zdrowia psychicznego i fizycznego, bezpieczeństwa energetycznego oraz klimatycznego, więzi społecznych, rozwoju innowacji i nowych technologii, ochrony dziedzictwa narodowego, dostępu do kultury i edukacji, ekonomii i budżetu Państwa czy wreszcie zrównoważonego rozwoju. Z uwagi na skalę poruszanych zagadnień do rozmów, poza architektami, zostali zaproszeni także: urbaniści, samorządowcy, przedstawiciele administracji publicznej, eksperci i liderzy opinii czy krytycy architektury. W gronie uczestników znajdą się zatem przedstawiciele wszystkich grup zawodowych powiązanych z tematyką szeroko pojętego ładu przestrzennego, a także biorących udział w różnego typu procesach inwestycyjnych w przestrzeni publicznej. Na kongresie nie zabraknie też miejsca dla osób, które prywatnie są zainteresowane jakością przestrzeni zbudowanej.

– *Ta swoista „inwentaryzacja" polskiej przestrzeni zostanie podczas kongresu przeprowadzona na wielu płaszczyznach, a jego uczestnicy będą mieli okazję spojrzeć na architekturę przez pryzmat dynamicznych wydarzeń ostatnich lat, a także prognoz na przyszłość i oczekiwań społeczeństw. Porozmawiamy zarówno o ważnej roli architekta, jak i o kondycji zawodu, jego pozycji w systemie prawnym, a także o wadach tego systemu i oczekiwanych kierunkach jego przekształceń, ze szczególnym uwzględnieniem planowania przestrzennego. Nie pominiemy znaczenia edukacji architektonicznej wśród społeczeństwa, umożliwiającej podjęcie świadomego i konstruktywnego dialogu na temat otaczającej nas przestrzeni* – informuje Piotr Fokczyński, Prezes Krajowej Rady Izby Architektów RP.

Edukacja lokalnej społeczności poprzez wydarzenia w regionie

Kongresowi towarzyszyć będzie szereg wydarzeń kulturalnych, artystycznych i edukacyjnych związanych z rolą architekta i architektury w życiu społecznym. Odbywać się one będą w dniach 9-17 maja br. na ulicach oraz w instytucjach kulturalnych stolicy oraz w wybranych miastach Polski przy zaangażowaniu i wsparciu Okręgowych Izb Architektów. Planowane są między innymi: projekcje filmów architektonicznych, pikniki dla całych rodzin, spacery miejskie czy wystawy.

Szczegółowe informacje o kongresie, uwzględniające program dwudniowych debat, znajdują się na oficjalnej stronie projektu: www.kongresarchitekturypolskiej.pl.

Honorowy patronat nad Kongresem Architektury Polskiej objęli: Rafał Trzaskowski – Prezydent m. st. Warszawy oraz Adam Struzik – Marszałek Województwa Mazowieckiego, a także Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

W gronie patronów medialnych kongresu znaleźli się: Architektura&Biznes, Architektura – Murator, Zawód: Architekt, Builder, Bryla.pl, Newseria, Polska Agencja Prasowa, Polityka, Portal Samorządowy, TVP Kultura, TVP Warszawa.

eprasa.pl 3c840005c8

Polska
Poniedziałek, 20.04.2026

GŁOS ŁAWNIKA MOŻE ZDECYDOWAĆ O WYROKU

Przez lata spychano ich na margines, aż wielu uznało, że w sądzie są już tylko ozdobą. To błąd. Ławnicy nadal mogą realnie wpływać na wyroki, a ich obecność mówi coś ważnego nie tylko o sądach, ale też o samej demokracji. O roli obywatela w wymiarze sprawiedliwości rozmawiamy z prof. Piotrem W. Juchaczem, przewodniczącym Rady ds. Ławników przy Ministrze Sprawiedliwości

Justyna Piasecka-Gabryel

Panie Profesorze, zacznijmy od podstaw. Po co dziś są ławnicy? Wielu ludziom wydaje się, że to już raczej symbol niż realna siła w sądzie.
To błędne wyobrażenie. Ławnicy mają realny wpływ na wyrok. W trzyosobowym składzie orzekającym zasiada jeden sędzia zawodowy i dwóch ławników, więc ci ostatni mogą nawet sędziego przegłosować. To nie jest funkcja dekoracyjna ani ozdobnik systemu, tylko rzeczywisty udział obywateli w wymierzaniu sprawiedliwości. Warto to powiedzieć bardzo jasno, bo wokół tej instytucji narosło mnóstwo nieporozumień. Część osób patrzy na ławników jak na element tradycji, który jeszcze się uchował, ale nie ma większego znaczenia. Tymczasem problem nie polega na tym, że ławnicy nic nie znaczą, tylko na tym, że przez lata ograniczano liczbę spraw, w których orzekają, i samą skalę ich obecności w sądach. Ich rola nie została więc unieważniona – została zepchnięta na margines. Pytanie o sens istnienia ławników jest zresztą pytaniem o to, jak rozumiemy demokrację. Jeżeli przyjmiemy, że obywatel ma być aktywny tylko przy urnie wyborczej, a później być tylko biernym obserwatorem życia publicznego, to rzeczywiście – przy takiej wizji – nie ma dla niego miejsca jako współuczestnika sprawowania wymiaru sprawiedliwości. Ale jeśli uznajemy, że obywatele nie tylko podlegają prawu, ale w ustroju demokratycznym są zarówno jego współtwórcami, jak i biorą udział w jego stosowaniu, to w wymiarze sprawiedliwości jest dla nich miejsce w postaci sędziów społecznych. Wymiar sprawiedliwości nie powinien być zamkniętym światem specjalistów. Powinien być również obywatelski.

Czyli zwykły obywatel może jeszcze uważać, że ławnik jest jego głosem w sądzie?
Tak. I nie tylko w sensie symbolicznym. Ławnicy wnoszą do sądu perspektywę zwykłego człowieka: doświadczenie życiowe, poczucie sprawiedliwości, czyli podzielane przez zwykłych obywateli pojmowanie tego co słuszne, oraz zdrowy rozsądek rozumiany jako mądrość praktyczna i roztropność osądu. To ma znaczenie zwłaszcza dziś, gdy wiele osób ma poczucie, że instytucje publiczne się od nich oddaliły i zaczęły mówić własnym, hermetycznym językiem. Badania pokazują zresztą, że ludzie nie oceniają sądu wyłącznie przez pryzmat tego, czy wygrali, czy przegrali sprawę. Nawet po przegranej można wyjść z przekonaniem, że zostało się potraktowanym uczciwie, że człowiek został wysłuchany, a procedura była rzetelna. Obecność obywateli w wymiarze sprawiedliwości taki odbiór wzmacnia. Sąd nie jest wtedy wyłącznie miejscem, w którym przemawia władza państwowa, ale również miejscem, w którym obecny jest głos wspólnoty.

A jednak dla wielu osób ławnik brzmi jak instytucja z innej epoki.
Ten stereotyp bierze się głównie z niewiedzy i z tego, że przez lata ta instytucja była osłabiana. Paradoks polega na tym, że po 1989 roku, kiedy budowaliśmy demokratyczne państwo, równocześnie zaczęliśmy ograniczać udział obywateli w sądach. W 1989 roku było w Polsce około 50 tysięcy ławników. Dziś jest ich niewiele ponad 7 tysięcy. Sama ta różnica pokazuje skalę zmiany. Największy zwrot nastąpił po deformie z 2007 roku. Wcześniej zasadą było orzekanie kolegialne, a wyjątkiem jednoosobowe. Później stało się odwrotnie: dominować zaczęły składy jednoosobowe, a udział ławników został mocno ograniczony. To nie była tylko techniczna korekta procedury, ale zmiana filozofii myślenia o wymiarze sprawiedliwości. Z sądu, w którym szeroko obecni byli przedstawiciele społeczeństwa, zaczęliśmy przechodzić do modelu znacznie bardziej zamkniętego.

W jakich sprawach ławnicy dziś jeszcze orzekają?
Przede wszystkim w części spraw karnych, a konkretnie w sprawach o zbrodnie, czyli czyny zabronione zagrożone karą pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 3, a także w wybranych sprawach rodzinnych i z zakresu prawa pracy. Problem polega na tym, że ten zakres jest dziś zbyt wąski. Jako Rada ds. Ławników przy Ministrze Sprawiedliwości postulujemy, by go stopniowo poszerzać, zaczynając od spraw karnych. Uważamy, że udział obywateli jest szczególnie ważny tam, gdzie w grę wchodzą kwestie bardzo wrażliwe społecznie, a także tam, gdzie potrzebne jest nie tylko literalne stosowanie przepisu, ale również doświadczenie życiowe i społeczne wyczucie. Bo prawo nie działa w próżni. Ono zawsze dotyczy konkretnych ludzi, konkretnych historii i bardzo często konkretnych dramatów.

Czyli ławnik nie ma być „małym prawnikiem", tylko kimś, kto wnosi inną perspektywę.
To bardzo trafne ujęcie, a zarazem bardzo istotne, gdyż w tym kontekście często pojawia się jeden z najczęstszych zarzutów wobec tej instytucji. Ławnik nie ma zastępować sędziego zawodowego ani konkurować z nim w wiedzy prawniczej. W składzie orzekającym wiedza prawnicza już jest: sędzia zawodowy zna przepisy, procedury, orzecznictwo, doktrynę. Ławnik wnosi coś innego: doświadczenie życiowe, społeczne po-



FOT. ROBERT WOŹNIAK

– Obywatele w sądzie są gwarancją jego niezależności i elementem społecznej kontroli – mówi prof. Piotr W. Juchacz

eprasa.pl 3c840005c8

czucie sprawiedliwości, zakorzenienie w konkretnej wspólnocie, zdrowy rozsądek. I to wcale nie jest mało. Przeciwnie – właśnie tego bardzo często w instytucjach publicznych brakuje. Sędzia zawodowy ma ogromną wiedzę i kompetencje, ale jest też częścią systemu, w którym codziennie styka się z bardzo dużą liczbą spraw. Ławnik ma przypominać, że za każdą z tych spraw stoi czyjeś życie, czyjś dramat, czyjaś przyszłość. Proszę pamiętać, że sędziowie są dziś przeciążeni pracą i siłą rzeczy grozi im rutyna. To nie jest zarzut wobec sędziów, tylko opis rzeczywistości. Obecność ławników ma tę rutynę przełamywać, wprowadzać świeże spojrzenie i przypominać, że nawet sprawa pozornie drobna z punktu widzenia sądu, dla konkretnego człowieka może być sprawą najważniejszą w życiu. W wielu sprawach potrzebna jest przecież nie tylko znajomość litery prawa, ale również umiejętność osadzenia go w rzeczywistości społecznej. Są przepisy, których nie da się stosować mechanicznie. Dobry przykład stanowią tzw. klauzule generalne, czyli świadomie wprowadzone przez ustawodawcę niedookreślone pojęcia normatywne, które należy dookreślić dopiero w kontekście danej konkretnej sprawy. By podać proste przykłady, to dobro dziecka, zasady współżycia społecznego, rażąca niewdzięczność, czy sprawiedliwość społeczna. I właśnie w tych sprawach głos zwykłego obywatela jako sędziego społecznego jest szczególnie ważny.

To skąd bierze się wciąż żywy stereotyp ławnika jako starszej osoby, która siedzi z boku i niewiele robi?
Po części z tego, że ludzie nie widzą najważniejszej części pracy ławnika. Na sali rozpraw rzeczywiście bywa tak, że ławnik nie zabiera głosu. Ale to nie znaczy, że jest bierny. Najważniejsze dzieje się podczas tajnej narady sędziowskiej. To tam zapada decyzja, tam ścierają się argumenty, tam waży się wyrok. Tego opinia publiczna nie widzi, więc łatwo o błędne wnioski.
Na sali rozpraw dobry sędzia zawodowy często sam prowadzi postępowanie w taki sposób, że nie ma potrzeby, by ławnik dodatkowo zadawał pytania. To nie jest konkurs na widoczną aktywność. Rolą ławnika nie jest demonstrowanie obecności, tylko rzetelny udział w ocenie sprawy i w samej naradzie. I właśnie tam jego głos ma wagę. Jeśli chodzi o wiek, to rzeczywiście spora część ławników to osoby starsze, ale trzeba pamiętać, że dziś przepisy przewidują możliwość pełnienia tej funkcji między 30. a 70. rokiem życia. To siłą rzeczy wpływa na strukturę tej grupy. My postulujemy obniżenie dolnej granicy do 26 lat i podniesienie górnej do 75, żeby tę funkcję otworzyć szerzej – zarówno na ludzi młodszych, jak i na tych starszych, którzy wciąż są aktywni i w pełni sprawni.

Jak właściwie zostaje się ławnikiem?
Ławników wybierają rady gmin. Wcześniej kandydatów opiniuje specjalna wyznaczona przez nie komisja. Kandydat musi spełniać określone warunki ustawowe: mieć odpowiedni wiek, co najmniej średnie wykształcenie, mieszkać lub pracować od co najmniej roku na terenie danej gminy, być niekarany i posiadać nieskazitelny charakter. Są też grupy wyłączone z możliwości pełnienia tej funkcji, na przykład policjanci, pracownicy sądów, żołnierze zawodowi czy duchowni. Chodzi o to, by ograniczyć ryzyko konfliktu interesów i zachować wiarygodność tej roli.

„Nieskazitelny charakter" brzmi dobrze, ale jak to się sprawdza?
W praktyce oznacza to zwrócenie się do odpowiedniego komendanta policji, który zleca sprawdzenie kandydata w policyjnych rejestrach informatycznych. Kiedyś częściej, a obecnie rzadziej prowadzony jest tzw. wywiad środowiskowy. I te dane są prezentowane komisji, która opiniuje kandydatów. Kandydaci muszą również dostarczyć informacje z Krajowego Rejestru Karnego. Zdarza się, że komisje biorą pod uwagę wcześniejsze naruszenia porządku publicznego czy liczbę mandatów. Oczywiście nie chodzi o to, że jeden mandat drogowy przekreśla człowieka. Ale jeśli ktoś notorycznie lekceważy przepisy, to trudno uznać, że powinien współdecydować o losach innych. To funkcja bardzo odpowiedzialna. Ławnik nie może być osobą przypadkową ani kimś, kto nie podchodzi do tej roli z należytą powagą.

Czy sędziowie zawodowi rzeczywiście traktują ławników poważnie?
Z mojego doświadczenia wynika, że najbardziej doceniają ławników ci sędziowie, którzy z nimi naprawdę orzekają, zwłaszcza w sprawach karnych. Wielu z nich mówi wprost, że kiedy trzeba zdecydować o wieloletnim pozbawieniu wolności, możliwość przedyskutowania tego z innymi członkami składu orzeczniczego ma ogromne znaczenie. To nie jest wyłącznie kwestia procedury. Chodzi też o ciężar odpowiedzialności. Łatwiej podjąć tak poważną decyzję, kiedy nie spoczywa ona tylko na jednej osobie. Ławnicy wnoszą do tej narady ważny punkt widzenia, a przy tym – wbrew powszechnym opiniom – wcale nie są bardziej surowi niż sędziowie zawodowi. Badania pokazują wręcz, że obecność sędziów społecznych często prowadzi do bardziej wyważonych, czasem nawet łagodniejszych rozstrzygnięć. To bardzo ciekawy i ważny wniosek, bo dość powszechnie zakłada się, że „zwykli ludzie" byliby bardziej radykalni, surowsi, bardziej skłonni do karania. Tymczasem praktyka pokazuje coś innego: obecność obywateli często wzmacnia element refleksji, proporcji, a czasem również większego zrozumienia dla ludzkich słabości.

A czy Polacy w ogóle wiedzą dziś, kim jest ławnik?
Niestety, wiedza na ten temat jest bardzo mała. Wielu ludziom ławnik kojarzy się z amerykańską ławą przysięgłych, którą znają z filmów, a to przecież zupełnie inny model. U nas ławnicy nie decydują osobno, tylko wspólnie z sędzią zawodowym uczestniczą w całej naradzie nad wyrokiem. Ten brak wiedzy jest jednym z powodów, dla których kandydatów jest za mało. Trudno zgłaszać się do funkcji, której się nie rozumie. Dlatego tak ważna jest promocja tej instytucji i pokazywanie, że to nie jest relikt, tylko odpowiedzialna rola obywatelska. Im mniej ludzi wie, czym naprawdę zajmuje się ławnik, tym łatwiej o stereotypy i lekceważenie tej funkcji.

To również chyba problem prestiżu.
Zdecydowanie. W Polsce ten prestiż trzeba odbudować. My – Rada ds. Ławników przy Ministrze Sprawiedliwości – postulujemy zmianę nazwy: zamiast „ławnik" – „sędzia społeczny". To lepiej oddaje rzeczywistą rolę i rangę tej funkcji. Bo trzeba powiedzieć jasno: osoba pełniąca funkcję ławnika jest w sensie ustrojowym sędzią. Tyle że sędzią społecznym. I tak powinna być traktowana. Nazwa ma znaczenie, bo wpływa na to, jak ludzie myślą o tej roli – zarówno ci, którzy ją pełnią, jak i ci, którzy obserwują ją z zewnątrz.

Tymczasem odpowiedzialność jest duża, a pieniądze niewielkie.
To jeden z kluczowych problemów. Ławnik nie dostaje pensji, tylko rekompensatę za dzień orzekania. Dziś to około 230 zł brutto. Dla osoby pracującej zawodowo to często realna strata, bo pracodawca ma obowiązek zwolnić ją na czas rozprawy, ale nie musi płacić za ten dzień wynagrodzenia. W praktyce oznacza to, że wiele aktywnych zawodowo osób zwyczajnie nie może sobie pozwolić na pełnienie tej funkcji. A przecież to właśnie ich udział byłby szczególnie cenny, bo chodzi o to, by wśród ławników była możliwie szeroka reprezentacja społeczna. Jeśli rekompensata jest za niska, instytucja zaczyna się zamykać na część obywateli nie dlatego, że nie mają kompetencji czy chęci, lecz dlatego, że ich na to nie stać. Dlatego postulujemy wyraźne podniesienie rekompensat. Chcemy też przywrócenia rekompensaty za czytanie akt, bo to również jest realna praca, której dziś w ogóle się nie uwzględnia. A przecież odpowiedzialne orzekanie nie zaczyna się dopiero na sali rozpraw.

Jakie jeszcze zmiany chcecie wprowadzić?
Po pierwsze, chcemy stworzyć powszechny i nowoczesny system szkoleń dla ławników. Dziś w jednych sądach szkolenia są, w innych ich praktycznie nie ma. To trzeba uporządkować. Po drugie, chcemy poszerzenia zakresu spraw, w których ławnicy orzekają. Po trzecie, zabiegamy o realne upodmiotowienie tej grupy: lepsze warunki pracy w sądach, pokoje dla ławników, własne togi na czas kadencji, sprawną komunikację z radami ławniczymi. To mogą się wydawać drobiazgi, ale one pokazują, czy państwo traktuje tych ludzi poważnie. Instytucji nie odbudowuje się tylko ustawą. Odbudowuje się ją także codziennym praktycznym szacunkiem. Prowadzimy też badania empiryczne, które mają pomóc w projektowaniu zmian. Nie chcemy reform opartych na intuicji czy stereotypach, tylko na danych. Dzięki temu można wychwycić bardzo konkretne problemy i proponować konkretne rozwiązania.

Jakie na przykład?
Chociażby problem rad ławniczych. Wiedzieliśmy, że w wielu sądach ich nie było, choć zgodnie z ustawą powinny istnieć. Dopiero analiza wyników badań pokazała, że przyczyną jest zbyt wysoki próg minimalnej liczby członków rady zawarty w akcie wykonawczym. To pozwoliło przygotować konkretną propozycję nowelizacji przepisów. Podobnie było z kontaktem do rad ławniczych. W wielu sądach nie było nawet oficjalnych adresów mailowych, przez co komunikacja praktycznie nie działała. Zaproponowaliśmy znaczną nowelizację rozporządzenia, regulując te kwestie. To są sprawy techniczne, ale jeśli chcemy nowoczesnej i sprawnej instytucji, to trzeba je uporządkować.

Brzmi to wszystko jak próba odbudowy instytucji, którą przez lata trochę zaniedbano.
Tak właśnie jest. Instytucja ławnika była przez lata zaniedbywana organizacyjnie, finansowo i wizerunkowo. Dziś próbujemy to odwrócić. I co ważne, po stronie Ministerstwa Sprawiedliwości widzę otwartość na te zmiany. To daje nadzieję, że przynajmniej część z nich uda się wprowadzić.

Na koniec: gdyby dziś od nowa budować polski wymiar sprawiedliwości, ławnicy nadal znaleźliby w nim miejsce?
Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Nie ma demokratycznego wymiaru sprawiedliwości bez szerokiego udziału obywateli. Jeśli chcemy móc mówić „to jest nasz sąd", a nie „ich sąd", to po obu stronach sędziego zawodowego powinni zasiadać zwykli obywatele, którzy wspólnie z nim podejmują decyzje orzecznicze. To jest także najlepsza gwarancja, że wymiar sprawiedliwości nie stanie się zamkniętym światem jednej grupy zawodowej czy politycznej. Obywatele w sądzie są gwarancją jego niezależności i niezawisłości sędziów, ale także elementem społecznej kontroli. Dlatego jestem przekonany, że trzeba wracać do kolegialności orzekania i wzmacniać udział sędziów społecznych, a nie go ograniczać. Bo stawka jest w gruncie rzeczy znacznie większa niż sama przyszłość ławników. Chodzi o odpowiedź na pytanie, kim obywatel ma być w państwie: czy tylko petentem, który przychodzi do instytucji po decyzję, czy też ich współuczestnikiem realnie wpływającym na kształt i sposób funkcjonowania tych instytucji. Ja uważam, że proces dojrzewania ustroju demokratycznego zachodzi wówczas, gdy my, jako obywatele, stajemy się częścią toczących się procesów tworzenia i egzekwowania prawa, a także sądowej kontroli jego przestrzegania. I sąd jest jednym z najważniejszych miejsc, w którym powinno to być szczególnie widoczne.

CV

Prof. UAM dr hab. Piotr Władysław Juchacz – filozof z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, przewodniczący Rady do spraw Ławników przy Ministrze Sprawiedliwości. Jest także Vice-President for Science & Research, European Network of Associations of Lay Judges (ENALJ) oraz dyrektorem Centrum Transdyscyplinarnych Badań nad Sędziami Społecznymi i Sądami DIKASTAI na UAM. Od wielu lat współpracuje jako badacz i doradca ze środowiskiem polskich sędziów społecznych, najpierw ze stowarzyszeniem Krajowa Rada Sędziów Społecznych (funkcjonowało w latach 2013-2024), a obecnie z wywodzącym się z niego Stowarzyszeniem Ławników Polskich.

REKLAMA 0111461412



eprasa.pl 3c840005c8

Polska
Poniedziałek, 20.04.2026



FOT. 123RF

Jerzy Rafalski o widoku z wyimaginowanego okna na Księżycu: (...) Ziemia nie wschodzi i nie zachodzi nad horyzontem tak jak u nas Księżyc. Ona po prostu wisi sobie w jednym miejscu. Słońce wschodzi i zachodzi, gwiazdy się przesuwają, a Ziemia trwa

PO CO NAM ZNOWU KSIĘŻYC?

Wracamy na Księżyc. Ale tym razem w tle są wielkie pieniądze, technologia, energia i hotel z widokiem na Ziemię. O co chodzi w programie Artemis i dlaczego „ciemna strona Księżyca" wcale nie jest ciemna, opowiada Jerzy Rafalski, popularyzator astronomii z toruńskiego Planetarium

Adam Willma

Po co wracać na Księżyc? Ponad pół wieku temu graliśmy tam już nawet w golfa. Astronomowie, miejcie litość dla podatników!
No właśnie - dziś pytanie brzmi już nie: czy potrafimy tam dolecieć, tylko po co mamy za to płacić. A mówimy rzeczywiście o miliardach dolarów. Tyle że dziś odpowiedź jest dużo bardziej konkretna niż pół wieku temu. Księżyc może nam się po prostu przydać. A nawet, mówiąc brutalnie, może się opłacić.

Zawsze tak mówicie...
W latach 70. chodziło przede wszystkim o demonstrację siły. Amerykanie chcieli pokazać światu, że są lepsi od Związku Radzieckiego, że mają najlepszą technikę i potrafią wysłać człowieka na Księżyc oraz bezpiecznie sprowadzić go z powrotem. Stąd te symboliczne obrazy: ślady butów, flaga, wielki triumf techniki. Dzisiaj wracamy już z innym nastawieniem. Skoro to wszystko tyle kosztuje, to wszyscy chcieliby wiedzieć, jaki będzie z tego zwrot. I od dawna te inwestycje w kosmos zwracają się wielokrotnie. Technologie opracowane dla misji kosmicznych potem pracują na Ziemi. Ale w przypadku Księżyca chodzi także o coś jeszcze większego. Pojawia się temat helu 3. To izotop, który jest nanoszony przez wiatr słoneczny. Na Ziemi nie zbieramy go w taki sposób, bo chroni nas atmosfera, ale księżycowy grunt jest nim nasiąknięty. Gdyby kiedyś udało się go wydobywać, transportować i wykorzystać, moglibyśmy mówić o bardzo wysokoenergetycznym paliwie przyszłości.

Pół wieku temu ludzie polecieli na Księżyc z komputerami słabszymi od dzisiejszego kalkulatora. Więc w zasadzie o co tyle hałasu w sprawie Artemisa?
Mowa o zupełnie innych technologiach i zupełnie innych celach. Mamy nową rakietę, nowe systemy, nową kapsułę załogową, nowe procedury bezpieczeństwa. To nie jest powtórka z Apollo. Trzeba sprawdzić, czy - wprowadzając zupełnie nowy program - potrafimy bezpiecznie wysłać ludzi tak daleko i bezpiecznie ich sprowadzić. Potem dochodzi lądownik, dłuższy pobyt, nowe skafandry, komunikacja, nowe spacery kosmiczne, całe zaplecze pod przyszłą bazę. Bo mowa już nie o krótkiej wizycie, ale o tym, żeby przygotować grunt pod regularną obecność człowieka.

Czyli bazę. Gdzie miałaby stanąć?
Tam, gdzie jest woda. I to jest jedna z najciekawszych zmian w naszym myśleniu o Księżycu. Kiedyś wielu uważało, że tam jest absolutna pustynia. Dziś wiemy, że w okolicach biegunów, zwłaszcza południowego, w zacienionych kraterach znajdują się zasoby zamarzniętej wody czy raczej szronu. To miejsca, do których nie zagląda Słońce, więc taka woda może się tam utrzymać. Jeżeli mamy budować bazy, to właśnie w tych rejonach. Wody oczywiście nie opłaca się wozić z Ziemi, bo wynoszenie każdego kilograma kosztuje fortunę.

Najpierw baza, potem kopalnia, a na końcu hotel?
Hotel brzmi atrakcyjnie i pewnie kiedyś też będzie. Ale wcześniej trzeba przejść całą drogę technologiczną. Najpierw nauczyć się tam żyć, potem zbudować habitaty, stworzyć osłony przed promieniowaniem, zabezpieczenia przed mikrometeorytami, systemy odzyskiwania wody i produkcji żywności. Dopiero później możemy sobie wyobrażać turystykę.

Co dla astroturysty będzie największym zaskoczeniem na Księżycu?
Przede wszystkim grawitacja - to, że wszystko mniej waży i że człowiek odruchowo zaczyna się bawić jak dziecko. Można wyżej podskoczyć, dalej rzucić, wszystko ma inny ciężar. Astronauci z Apollo też się tym cieszyli, pamiętamy ich zabawę piłeczką golfową.

Budzimy się rano (jeśli na Księżycu można mówić o poranku), odsłaniamy okno i...
Widok mamy oszałamiający! Wyobraźmy sobie hotel z oknem na Ziemię. Księżyc jest zwrócony do nas cały czas tą samą stroną, więc jeśli mamy odpowiednio ustawione okno, Ziemia nie wschodzi i nie zachodzi nad horyzontem tak jak u nas Księżyc. Ona po prostu wisi sobie w jednym miejscu. Słońce wschodzi i zachodzi, gwiazdy się przesuwają, a Ziemia trwa. Sam ten widok byłby przeżyciem nie do podrobienia. Człowiek będzie oczywiście cały czas zamknięty w habitacie z właściwym ciśnieniem, temperaturą i powietrzem. Nie będzie musiał martwić się o to, że na zewnątrz jest minus dwieście albo plus sto pięćdziesiąt.

Do jakiego stopnia światło na Księżycu przypomina ziemskie kolory?
Na kolory raczej nie ma co się nastawiać. Tam dominują szarości. To krajobraz surowy, oszczędny, bez błękitnego nieba, bez zieleni, bez naszej ziemskiej feerii barw. Słońce też wygląda inaczej, bo bez atmosfery pozostaje białe. Nawet przy zachodzie nie robi się czerwone tak jak u nas. Ale ciekawe jest to, że z bliska można dostrzec subtelne odcienie, których z Ziemi nie widać. Astronauci relacjonowali, że widzieli miejscami brązowawe tony. Więc to nie jest całkiem martwa, jednolita szarość, choć oczywiście nie lecimy tam dla kolorów. Kolory to jednak specjalność Ziemi.

A co z zaopatrzeniem w tym hotelu? Przed laty badania nad uprawą kosmicznej sałaty prowadził w Toruniu prof. Gorgolewski. Mamy już patent na księżycowe rolnictwo?
Czemu nie? Skoro mamy wodę, to już połowa sukcesu. Światło daje Słońce. Do tego nawożenie (tu „ludzki materiał" będzie nieoceniony) i można próbować. Oczywiście nie mówię, że od razu otworzymy księżycowe gospodarstwo rolne, ale krótkoterminowe zabezpieczenie życia ludzi na miejscu jak najbardziej można sobie wyobrazić. Człowiek będzie odzyskiwał wodę, produkował żywność i próbował uniezależnić się od dostaw z Ziemi. Ze schabowym będzie trudniej, ale kuchnię warzywną jak najbardziej sobie na Księżycu wyobrażam. Oczywiście wszystko pod „szkłem". Na Księżycu nie ma atmosfery ani pola ochronnego takiego jak u nas, więc człowiek jest narażony na promieniowanie kosmiczne i słoneczne. Do tego dochodzą mikrometeoryty. U nas wiele takich drobin spala się w atmosferze, a tam po prostu uderzają w grunt. Dlatego mówi się o budowaniu baz częściowo osłoniętych, w zagłębieniach, szczelinach, może pod warstwą gruntu. Taka naturalna albo sztucznie usypana osłona mogłaby chronić zarówno przed promieniowaniem, jak i przed drobnymi uderzeniami.

Czyli bogaci czmychną do księżycowych hoteli, a nas zostawią tu z całym bałaganem.
Od dawna mówi się, że ludzkość powinna tworzyć dodatkowe ośrodki cywilizacji poza Ziemią. Nie po to, żeby masowo się wyprowadzić, tylko po to, żeby kiedyś nie okazało się, że jedna katastrofa, wojna czy wielki kryzys niszczą wszystko naraz. Księżyc albo Mars mogłyby być w odległej przyszłości takimi zapasowymi przyczółkami cywilizacji. Nie teraz, nie za chwilę, ale to jest jeden z poważnych argumentów.

Wróćmy do Artemisa, który zmapował „ciemną" stronę Księżyca.
To określenie jest mylące. Nie ma żadnej wiecznie ciemnej strony Księżyca. Każda jego część jest oświetlana przez Słońce. Chodzi raczej o stronę niewidoczną z Ziemi, nieznaną, ukrytą przed naszym codziennym spojrzeniem. To bardziej „dark" w sensie „tajemnicza" niż „ciemna". Tak naprawdę bezzałogowe sondy już dawno bardzo dobrze ją sfotografowały i zmapowały. Lot za Księżyc ma sens grawitacyjny i techniczny. Skoro jednak astronauci z Artemisa polecieli za Księżyc, to oczywiście robią zdjęcia, bo medialnie wygląda to świetnie. Znacznie ważniejsze było jednak testowanie systemu, komunikacji, skafandrów, nawet toalety. Takie rzeczy też trzeba dopracować. Lot wokół Księżyca to nie wycieczka krajoznawcza, tylko generalna próba przed czymś większym.

Padło chwytliwe hasło, że człowiek nigdy nie był tak daleko od Ziemi. Ale 400 tys. km to tylko 400 razy dalej niż ze Świnoujścia do Wołosatego w Bieszczadach.
A jednak to jest ogromna różnica. Warto pamiętać, że Sławosz Uznański-Wiśniewski znalazł się w odległości „zaledwie" 400 km od Ziemi. Gdy lecimy prawie 400 tysięcy kilometrów od Ziemi, wchodzimy w zupełnie inną skalę. Potrzeba większej prędkości, potężniejszej rakiety, bardziej zaawansowanych systemów i później także dużo trudniejszego powrotu. Nie wystarczy dolecieć, trzeba jeszcze wrócić i wytracić ogromną prędkość przy wejściu w atmosferę. To oznacza większe przeciążenia, większe temperatury, większe ryzyko. Dlatego takie loty są dużo trudniejsze niż misje na orbitę okołoziemską.

Jeśli w tej księżycowej misji chodzi o zasoby i energię, to od razu pojawia się nieprzyjemne skojarzenie. Tam, gdzie są surowce, tam szybko pojawiają się konflikty.
Niestety, tak może być. Jeżeli zaczynamy myśleć o Księżycu jak o miejscu, gdzie są cenne zasoby energetyczne, od razu pojawia się pytanie o rywalizację. Trzeba o tym myśleć już teraz.

No właśnie. Do kogo właściwie należy Księżyc?
Do nikogo. Państwa umówiły się w XX w., że to, co jest poza Ziemią, nie należy do żadnego kraju. Trochę jak z Antarktydą. Ale od razu pojawia się pytanie praktyczne. Jeżeli ktoś opracuje technologię wydobycia i zainwestuje w nią gigantyczne pieniądze, to czy naprawdę będzie chciał się tym dzielić z całym światem? No właśnie. I dlatego prędzej czy później trzeba będzie tworzyć nowe prawo kosmiczne, bardziej szczegółowe niż dotąd.

Dożyjemy czasów, w których w księżycowej bazie znajdzie się polski pokoik?
Tu byłbym ostrożny. Gdy byłem dzieckiem, oglądałem „Kosmos 1999" i byłem przekonany, że skoro akcja dzieje się w tak niedalekiej przyszłości, to ja jako dorosły człowiek będę już żył w czasach księżycowych baz. Jak widać, czasem technika szybciej podąża w marzeniach niż w rzeczywistości. Możemy więc umówić się na spotkanie w tym pokoiku za jakieś sto lat. Dlatego już teraz warto poeksperymentować z uprawą chmielu na orbicie.©℗

eprasa.pl 3c840005c8

0011509955

Elastyczne ścieżki edukacji dorosłych w konkursie NCBR

120 mln zł z programu Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego przeznaczy Narodowe Centrum Badań i Rozwoju na rozwój oferty uczelni, która pomoże osobom dorosłym zaistnieć na rynku pracy z poszukiwanymi umiejętnościami zawodowymi. Wnioski w konkursie można składać do 29 czerwca 2026 roku.

Poprzez konkurs „Uczenie się przez całe życie – rozwój oferty uczelni" Narodowe Centrum Badań i Rozwoju chce zainspirować szkoły wyższe do podejmowania działań, które umożliwią osobom dorosłym podnoszenie lub uzupełnianie swoich kwalifikacji lub kompetencji, zgodnie z oczekiwaniami pracodawców i rynku pracy.

– Program Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego (FERS), instrument Europejskiego Funduszu Społecznego Plus, służy do inwestowania w ludzi. Stawia m.in. na zwiększanie skuteczności systemów kształcenia i szkolenia oraz ich lepsze powiązanie z zapotrzebowaniem na pracowników dobrze przygotowanych do realizacji swoich zadań – mówi **prof. dr hab. inż. Jerzy Małachowski**, dyrektor Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.

*– Zaangażowanie edukacyjne dorosłych przekłada się na szereg korzyści dla nich samych i dla efektywności pracy, jaką wykonują. Dlatego celem naszego konkursu jest budowanie i wzmacnianie potencjału uczelni, aby mogły promować ideę uczenia się przez całe życie. Dopasowanie oferty dydaktycznej szkół wyższych w tym zakresie do oczekiwań pracodawców oraz kształcenie kadr na potrzeby zielonej i cyfrowej gospodarki stanowią klucz do osiągnięcia tego celu. Bardzo ważne jest dla nas, aby działania zaplanowane w projektach i ich rezultaty miały trwały charakter i przyniosły długofalowy, korzystny efekt. Przewidujemy, że skorzysta z nich co najmniej kilkanaście tysięcy osób – d*odaje.



Celem konkursu jest budowanie i wzmacnianie potencjału uczelni, aby mogły promować ideę uczenia się przez całe życie. Dopasowanie oferty dydaktycznej szkół wyższych w tym zakresie do oczekiwań pracodawców oraz kształcenie kadr na potrzeby zielonej i cyfrowej gospodarki stanowią klucz do osiągnięcia tego celu.

prof. dr hab. inż. Jerzy Małachowski, dyrektor NCBR

Reskilling i kompetencje przyszłości

Systematyczne uzupełnianie kompetencji poprzez różne formy dokształcania stało się koniecznością, nie tylko dla osobistego rozwoju zawodowego, lecz także dla funkcjonowania gospodarki i społeczeństwa. Tymczasem według raportu Instytutu Badań Edukacyjnych – Państwowego Instytutu Badawczego z badania PIAAC 2023, Polska należy do krajów o relatywnie niskim uczestnictwie dorosłych w zorganizowanej edukacji formalnej i pozaformalnej, kształtującym się na poziomie około 21-24 proc. w ciągu roku, podczas gdy średnia OECD to około 40 proc.

W odpowiedzi na to wyzwanie, wsparcie w konkursie NCBR mogą otrzymać projekty wspierające ideę uczenia się przez całe życie, obejmujące działania mające na celu dostosowanie kwalifikacji lub kompetencji osób dorosłych do potrzeb i oczekiwań pracodawców i rynku pracy – przekwalifikowania się (reskilling), wypełnienia luk w umiejętnościach (skills gap) poprzez opracowanie programów i realizację działań dydaktycznych, np. kursów, szkoleń, warsztatów z wykorzystaniem przede wszystkim potencjału dydaktycznego uczelni. Projekty mogą również obejmować uruchamianie i realizację kształcenia specjalistycznego na 5. poziomie Polskiej Ramy Kwalifikacji (PRK).

Edukacja bez metryki

Kwalifikacje lub kompetencje, które osoby dorosłe będą mogły nabyć lub podnieść w danym projekcie, uczelnie określą w oparciu o własną diagnozę. Zostanie ona przeprowadzona przez każdego z wnioskodawców na podstawie aktualnych powszechnie dostępnych analiz, analiz własnych, strategii lub opracowań dotyczących luk kompetencyjnych w odniesieniu do potrzeb rynku pracy i gospodarki. Do przygotowania diagnozy można korzystać z raportów tematycznych, szczególnie uwzględniających tzw. kompetencje przyszłości dla rynku pracy, np. wspierające cyfrową i zieloną gospodarkę (np. analizy regionalne, badania Bilansu Kapitału Ludzkiego, rekomendacje rad sektorowych ds. kompetencji). Dokument ten zostanie przedstawiony jako obowiązkowy załącznik do wniosku o dofinansowanie.

Kto może uczestniczyć w projektach? Grupę docelową stanowią osoby pełnoletnie, które potrzebują dodatkowych kompetencji lub kwalifikacji. W przypadku osób powyżej 64. roku życia, dodatkowym warunkiem udziału jest aktywność zawodowa w momencie rozpoczęcia udziału w projekcie. Mieści się w tym m.in. prowadzenie własnej działalności gospodarczej lub rolniczej, bycie wspólnikiem spółki cywilnej lub spółki prawa handlowego, zatrudnienie na umowę o pracę czy umowę-zlecenie. Warunek ten spełniają również osoby zarejestrowane w urzędzie pracy jako osoby poszukujące zatrudnienia.

Od diagnozy do działania

W konkursie „Uczenie się przez całe życie – rozwój oferty uczelni" wnioski należy składać za pośrednictwem systemu SOWA EFS **do 29 czerwca 2026 roku.**

Uczelnie mogą realizować projekty samodzielnie lub w partnerstwie, np. z inną uczelnią, o ile znajduje to uzasadnienie merytoryczne i przełoży się na wartość dodaną w odniesieniu do planowanych rezultatów. Maksymalna wartość projektu to 4 mln zł, a dofinansowanie może sięgać do 97 proc. Beneficjenci będą więc zobowiązani do wniesienia niewielkiego wkładu własnego. Okres realizacji projektów nie może wykroczyć poza 30 września 2029 roku**.**

Na dodatkowe punkty w ocenie mogą liczyć projekty, które przewidują działania w zakresie podnoszenia kompetencji lub nabywania kwalifikacji w zakresie przynajmniej jednego obszaru technologii krytycznych dla rozwoju gospodarki wskazanych przez Komisję Europejską w odniesieniu do Platformy na rzecz Technologii Strategicznych dla Europy (STEP): technologie cyfrowe, czyste i zasobooszczędne oraz biotechnologie, a także technologie obronne. Dzięki temu realizacja projektów przyczyni się do wzrostu gospodarczego i poprawy jakości życia społeczeństwa, stanu środowiska naturalnego oraz ograniczania lub zwalczania strategicznej zależności kraju.

NCBR chce dać również pierwszeństwo uczelniom, które nie otrzymały z programu Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego dofinansowania na projekt realizowany w ramach naboru z 2023 roku o pokrewnej tematyce pt. „Rozwój kwalifikacji i kompetencji osób dorosłych". A także tym, które posiadają siedzibę lub filię w mieście będącym ośrodkiem subregionalnym, w którym będą realizowane wszystkie działania dydaktyczne zaplanowane w projekcie. Katalog tych miast to: Bełchatów, Biała Podlaska, Bolesławiec, Chełm, Chojnice, Ciechanów, Cieszyn, Ełk, Głogów, Gniezno, Inowrocław, Jelenia Góra, Kędzierzyn-Koźle, Kołobrzeg, Konin, Krosno, Kutno, Kwidzyn, Leszno, Lubin, Łomża, Mielec, Nowy Sącz, Nowy Targ, Nysa, Ostrołęka, Ostrowiec Świętokrzyski, Ostrów Wielkopolski, Oświęcim, Piła, Piotrków Trybunalski, Przemyśl, Puławy, Racibórz, Radomsko, Sanok, Siedlce, Sieradz, Skarżysko-Kamienna, Skierniewice, Stalowa Wola, Starachowice, Starogard Gdański, Suwałki, Szczecinek, Świdnica, Tarnobrzeg, Tomaszów Mazowiecki, Zakopane, Zamość, Zawiercie, Żyrardów.
Przyjęte podejście wynika z założeń „Śródokresowej Strategii Rozwoju Polski do 2035 r." w zakresie wzmacniania modelu równomiernego rozwoju kraju oraz przeciwdziałania negatywnym skutkom wyludniania mniejszych miast.
W tym kontekście rozwój oferty edukacyjnej skierowanej do osób dorosłych oraz wspieranie uczenia się przez całe życie stanowią istotną odpowiedź na zmieniającą się strukturę ludności i potrzeby lokalnych rynków pracy.

Premiowane dodatkowymi punktami będzie także zaangażowanie do realizacji projektu osób z niepełnosprawnością.

13 maja 2026 r. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju planuje zorganizować spotkanie informacyjne na temat konkursu. Bliższe informacje wkrótce na stronie gov.pl/ncbr.

Konkurs „Uczenie się przez całe życie – rozwój oferty uczelni" realizowany jest w ramach Działania „Umiejętności w szkolnictwie wyższym" Priorytet „Umiejętności" Programu Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego.

- **Pytania o warunki konkursu można kierować za pośrednictwem** Punktu Informacyjnego NCBR.
- **Dokumentacja konkursowa: gov.pl/ncbr.**



eprasa.pl 3c840005c8

Polska
Poniedziałek, 20.04.2026

„FATHERLAND” POJEDZIE DO CANNES

„Fatherland” w reżyserii Pawła Pawlikowskiego został zakwalifikowany do konkursu głównego prestiżowego Festiwalu Filmowego w Cannes i powalczy o najważniejszą nagrodę – Złotą Palmę. Zdjęcia do tej międzynarodowej produkcji realizowane były m.in. w atelier Wytwórni Filmów Fabularnych we Wrocławiu, a także w innych miejscach na Dolnym Śląsku

Michał Perzanowski, Robert Migdał, Tomasz Pawlak

W „Fatherland” zobaczymy znakomitych aktorów. Główne role zagrali: nominowana do Oscara Sandra Hüller („Strefa interesów”, „Anatomia upadku”), Hans Zischler („Monachium”), August Diehl („Bękarty wojny”) oraz Devid Striesow („Na Zachodzie bez zmian”). W hali zdjęciowej Wytwórni Filmów Fabularnych realizowane były zdjęcia z udziałem trójki głównych bohaterów, a ich autorem jest polski operator Łukasz Żal. W atelier wytwórni powstała scenografia do scen w Los Angeles, Weimarze i Cannes, przygotowana przez duet Katarzyna Sobańska i Marcel Sławiński – informuje wrocławska Wytwórnia Filmów Fabularnych.

Akcja filmu „Fatherland” (robocza nazwa „1949”) rozgrywa się w czasach zimnej wojny i śledzi podróż Thomasa Manna i jego córki Eriki Mann przez podzielone Niemcy – od Frankfurtu w strefie amerykańskiej po Weimar pod kontrolą ZSRR. Mann po raz pierwszy od zakończenia wojny wraca do ojczyzny, którą opuścił, udając się na emigrację do USA.

Laureat Oscara Paweł Pawlikowski kręcił swój najnowszy film w Wytwórni Filmów Fabularnych we Wrocławiu jesienią ubiegłego roku. W hali zbudowano kilka scenografii, które w najdrobniejszych szczegółach miały imitować wnętrza domów w USA, we Francji czy w Niemczech. – W swoim filmie reżyser „Idy” oraz „Zimnej wojny” przeniesie nas do 1949 roku i opowie historię Thomasa Manna, niemieckiego noblisty z dziedziny literatury. W jednym miejscu musieliśmy umieścić wnętrza z Los Angeles, Cannes i Weimaru – mówiła „Gazecie Wrocławskiej” producentka filmu Ewa Puszczyńska.

Zbudowali dom Manna

Byliśmy na planie we Wrocławiu, gdy kręcono „Fatherland”. Wytwórnia Filmów Fabularnych pachniała farbą, kurzem i świeżo ciętym drewnem. Wchodząc do hali, trudno było uwierzyć, że kilka kroków dalej nie jest Wrocław, lecz… Los Angeles końca lat 40. XX w. Ekipa Pawła Pawlikowskiego zbudowała tu dom Thomasa Manna, noblisty, autora „Czarodziejskiej góry” i „Śmierci w Wenecji”. – Dom istnieje naprawdę, dziś można go zwiedzać jako muzeum. My zbudowaliśmy go w hali, niemal jeden do jednego, jeśli chodzi o skalę i przestrzeń. Za szybą tarasu pojawi się w postprodukcji krajobraz Hollywood, a obok mamy Cannes i Weimar. Wszystko powstaje tutaj, we Wrocławiu – mówił scenograf Marcel Sławiński, oprowadzając nas po planie.

Francja, Niemcy, USA…

Powstały cztery lokacje. Oprócz rezydencji Manna w Los Angeles, zbudowane zostały także wnętrza domostw we francuskim Cannes i niemieckim Weimarze. Weszliśmy również do starej windy, w której kręcono właśnie jedną ze scen. Akcja filmu rozgrywa się na dwóch kontynentach, a w rzeczywistości zaledwie na kilku tysiącach mkw. – To jest magia kina: w jednej hali mamy cztery lokacje i trzy kraje. Chcemy, by widz uwierzył, że ogląda jeden spójny świat. Nie byliśmy w oryginalnych lokacjach, ale mamy bardzo bogatą dokumentację. Na jej podstawie stworzyliśmy wierną rekonstrukcję domu Mannów. Dodaliśmy rekwizyty, które przywieźliśmy z Niemiec: zdjęcia, meble,

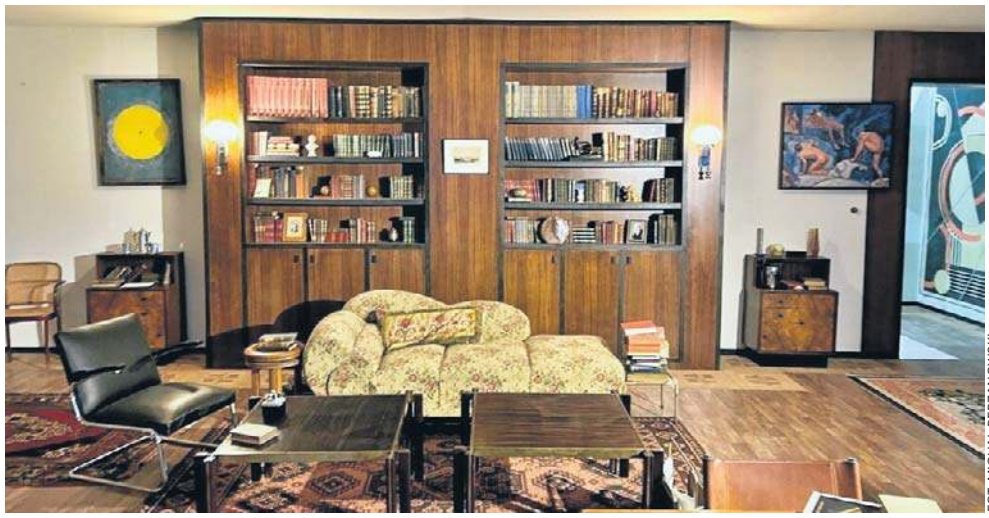
REKLAMA 0011500319



AUTOREKLAMA



eprasa.pl 3c840005c8



FOT. MICHAŁ PERZANOWSKI

Tak we wrocławskiej WFF odtworzono mieszkanie Thomasa Manna



FOT. AGATA GRZYBOWSKA/MATERIAŁY PRASOWE FILMU

Odtwórcy głównych ról: Sandra Hüller i Hans Zischler

przedmioty codziennego użytku. To nadało większej prawdy - tłumaczyła Katarzyna Sobańska, współscenografka.

Dom w Los Angeles, który w filmie zostanie pokazany w czerni i bieli, nie jest tylko dekoracją. - To kwintesencja intelektualnej rzeczywistości Manna. Był uciekinierem, więc przywiózł ze sobą meble, pamiątkowe zdjęcia, starsze przedmioty z ostatniego domu w Niemczech. Reżyser bardzo chciał, by to było widoczne - podkreślała Sobańska.

Plan filmowy to nie tylko wytwórnia. Dolny Śląsk znów okazał się doskonałą scenerią dla historii europejskich. - Legnica zagrała Frankfurt i Weimar, Kliczków stał się hotelem, Pieńsk i huta szkła „Lucyna" były zupełnie nowymi przestrzeniami dla nas, a finałową scenę kręcimy w Goszczu - wylicza Sobańska. Zdjęcia kręcono też w okolicach Kłodzka, w Wałbrzychu i Bielawie.

Czarno-biały świat

Film Pawlikowskiego powstawał w czerni i bieli. To było ogromne wyzwanie dla kostiumografów. - Wybieramy kreacje, które mówią kontrastem i fakturą, a nie kolorem. Pracuję z Pawłem kolejny raz, wcześniej przy „Idzie" i „Zimnej wojnie". Wiemy, czego oczekuje - mówiła nam Aleksandra Staszko, odpowiedzialna za kostiumy.

Przypomnijmy, że w filmie mamy doświadczyć 1949 roku. To specyficzny okres w najnowszej historii świata. Niemcy wciąż nie odbudowały swoich zrujnowanych miast. Świat, który Mann zapamiętał sprzed swojego wyjazdu, już nie istnieje.

Mann nie był w Niemczech od 1933 roku, kiedy to uciekł przed nazistowskim reżimem III Rzeszy i zamieszkał w Stanach Zjednoczonych. Ma właśnie odebrać nagrodę i wygłosić przemówienie z okazji dwusetnej rocznicy urodzin Goethego we Frankfurcie, jego rodzinnym mieście, oraz w Weimarze, gdzie Goethe spędził większość życia.

Dodatkowej wymowy tej wizycie dodaje fakt, że ma ona miejsce w szczytowym okresie zimnej wojny. Frankfurt znajduje się w amerykańskiej strefie okupacyjnej (wkrótce RFN), podczas gdy Weimar znajduje się w radzieckiej (przyszłej NRD). Obie strony starają się „pozyskać" noblistę.

- To jest moda końcówki lat 40. Największym wyzwaniem było pokazanie różnic między grupami społecznymi. Inną zamożność miały Niemcy zachodnie, a inną wschodnie. Thomas Mann i jego córka przyjeżdżają z USA, więc też wyróżniają się stylem. On był znany z elegancji i staraliśmy się to uchwycić. Obejrzałam wszystkie dostępne archiwalia, by jak najwierniej oddać, jak się nosili, i przenieść to na ekran - mówiła Aleksandra Staszko.

Europejska koprodukcja ze światową obsadą

Na ekranie zobaczymy aktorów najwyższej próby. W Thomasa Manna wcieli się Hans Zischler, a jego córkę Erikę gra Sandra Hüller, nominowana do Oscara za „Anatomię upadku". Towarzyszyć im będą m.in. August Diehl, Devid Striesow i Theo Trebs.

- Sandra to znakomita aktorka. Hans też jest bardzo rozpoznawalny. Może jego nazwisko nie od razu mówi wiele, ale twarz widzowie z pewnością kojarzą. Film kręcimy po niemiecku, bo chcemy zachować prawdę języka. Widz ma uwierzyć, że przeniósł się w tamten czas - mówiła nam producentka filmu Ewa Puszczyńska.

Przypominała, że film „Faterland" nie jest biografią Manna. - To opowieść o pierwszej powojennej podróży pisarza do Niemiec. Wtedy zaczynała się zimna wojna, a Niemcy były już podzielone. Ale kultura i język nie znają granic. I to jest piękne: wspólnie opowiadamy o pisarzu, który był nie tylko niemiecki, ale i europejski. To właśnie chcemy pokazać - mówiła producentka w rozmowie z „Gazetą Wrocławską".

Dlaczego Wrocław?

- Tutaj kręciliśmy „Zimną wojnę". Wiedzieliśmy, że sceny studyjne muszą powstać w jednym miejscu. Wrocławska hala WFF ma świetne warunki, to miejsce coraz bardziej doceniane w świecie filmu - wyjaśniała producentka.

„Fatherland" to produkcja polsko-niemiecko-francusko-włoska. Kluczową rolę odgrywali Polacy: operator Łukasz Żal, kompozytor Marcin Masecki, montażysta Piotr Wójcik i duet scenografów Sobańska - Sławiński.

MATERIAŁ INFORMACYJNY NASK

0011495348

EZD RP w praktyce. Jak elektroniczne zarządzanie dokumentacją zmienia funkcjonowanie instytucji

EZD RP to system, który cyfryzuje – a co za tym idzie – porządkuje obieg dokumentów i zarządzanie nimi w instytucjach. W odróżnieniu od tradycyjnego modelu opartego na papierze, systemy klasy EZD umożliwiają prowadzenie spraw w sposób w pełni elektroniczny. To zwiększa przejrzystość procesów, skraca czas obsługi i minimalizuje ryzyko błędów. Wdrożenie EZD RP zmienia organizację i kulturę pracy. Dzięki NASK można tę zmianę wprowadzić płynnie i bezkosztowo.

Podczas debaty poświęconej wdrażaniu EZD RP swoimi doświadczeniami podzielili się Magdalena Sawicka – Dyrektor Pionu Wdrożeń i Utrzymania EZD w NASK oraz Adam Grzegrzółka – Dyrektor Biura Organizacji w Urzędzie m.st. Warszawy. Dyskusja pokazała, że wdrożenie systemu to proces złożony, wymagający zarówno przygotowania technologicznego, jak i odpowiedniego podejścia do zarządzania zmianą.

Współpraca, która buduje standardy

Uczestnicy debaty opowiedzieli o początkach współpracy pomiędzy NASK a stołecznym urzędem, podkreślając jej znaczenie dla rozwoju systemu EZD RP. Wspólne działania pozwoliły nie tylko dopracować funkcje i możliwości narzędzia, ale także wypracować dobre praktyki, które mogą być wykorzystywane przez inne instytucje publiczne.

– Prowadzenie spraw w urzędzie wiąże się z bardzo dużą liczbą wymogów formalnych i prawnych, które muszą być spełnione – podkreślał Adam Grzegrzółka. *- Szukaliśmy narzędzia, które pozwoli na elektroniczne rejestrowanie komunikacji z mieszkańcami. Zrobiliśmy rozpoznanie rynku, myśleliśmy też o budowie własnego narzędzia. Z analizy wyszło nam, że najbardziej racjonalnie będzie skorzystać z systemu NASK – EZD RP.*

Jak zaznaczali eksperci, wdrożenie EZD RP to proces wymagający ścisłej współpracy pomiędzy dostawcą systemu a organizacją. Istotne jest nie tylko dostarczenie technologii, ale także wsparcie merytoryczne, szkoleniowe i organizacyjne na każdym etapie projektu.

Jednym z głównych tematów debaty były wyzwania związane z implementacją systemu. Eksperci zwracali uwagę, że choć technologia jest fundamentem tego rozwiązania, to największym wyzwaniem pozostaje czynnik ludzki. Zmiana przyzwyczajeń pracowników, konieczność nauki nowych procedur oraz obawy przed cyfryzacją to elementy, które mogą spowalniać proces wdrożenia. Rozmówcy podkreślali jednak, że odpowiednia komunikacja i edukacja pozwalają skutecznie ograniczać te bariery. Dzielenie się doświadczeniami oraz prezentowanie realnych korzyści – takich jak szybszy obieg dokumentów czy łatwiejszy dostęp do informacji – sprzyja akceptacji nowych rozwiązań.



Skala wdrożenia i powszechność rozwiązania

Skala wdrożenia w Urzędzie m.st. Warszawy pokazuje, jak szerokie zastosowanie może mieć system EZD w dużych podmiotach. *- W ramach Krajowego Planu Odbudowy wspólnie z Urzędem m.st. Warszawy NASK uruchamia produkcyjnie wdrożenia w blisko 1011 jednostkach organizacyjnych miasta. To między innymi szkoły, przedszkola, ale także mniej oczywiste podmioty, takie jak ośrodki zdrowia* – mówiła Magdalena Sawicka.

Tak szeroki zakres wdrożenia oznacza realną standaryzację procesów zarządzania dokumentacją w całym ekosystemie miejskich instytucji.

Co istotne, wdrożenie EZD RP w jednostkach organizacyjnych realizowane jest praktycznie bezkosztowo dzięki środkom z Krajowego Programu Odbudowy. To sprawia, że system może być wdrożony również w podmiotach, które nie dysponują dużymi zasobami finansowymi. Dzięki temu EZD RP staje się rozwiązaniem powszechnym, a nie wyłącznie narzędziem dostępnym dla największych urzędów.

Integracja kluczem do skuteczności systemu

Istotnym elementem funkcjonowania EZD RP jest jego integracja z innymi systemami administracji publicznej, takimi jak ePUAP, e-Doręczenia czy KSeF. NASK zapewnia nie tylko wdrożenie i wsparcie techniczne, w tym infrastrukturę chmurową, ale także rozwój systemu.

Adam Grzegrzółka podkreślał, że z perspektywy dużej instytucji brak integracji oznaczałby powstawanie luk w systemie i konieczność równoległego prowadzenia procesów w różnych narzędziach. Spójność środowiska cyfrowego jest więc warunkiem efektywnego zarządzania dokumentacją.

Z kolei Magdalena Sawicka zwracała uwagę, że instytucje zainteresowane wdrożeniem mogą zapoznać się z systemem dzięki wersji demonstracyjnej dostępnej na stronie **ezdrp.gov.pl.** To rozwiązanie pozwala lepiej zrozumieć możliwości i rolę EZD RP oraz przygotować organizację do zmian.

Debata pokazała, że wdrożenie systemu do elektronicznego zarządzania dokumentacją to nie tylko technologiczna innowacja, ale przede wszystkim narzędzie realnie zmieniające sposób funkcjonowania instytucji publicznych.

Doświadczenia NASK i Urzędu m.st. Warszawy wskazują, że dobrze przeprowadzone wdrożenie EZD RP przynosi wymierne korzyści – usprawnia procesy, zwiększa transparentność i pozwala lepiej zarządzać informacją. Co istotne, efekty tych działań wykraczają poza pojedyncze instytucje i mogą stanowić fundament dla dalszej cyfryzacji całej administracji publicznej.

Więcej informacji o projekcie:
ezdrp.gov.pl/kpo

KRAJOWY PLAN ODBUDOWY | Rzeczpospolita Polska | Sfinansowane przez Unię Europejską NextGenerationEU | NASK

eprasa.pl 3c840005c8

Polska
Poniedziałek, 20.04.2026

KOMIKS O ZAMENHOFIE I JĘZYKU ESPERANTO

Białystok był pierwszym przystankiem na trasie promocyjnej komiksu „Ideo". Nic dziwnego. Jego twórca, Jacek Świdziński, który sam pochodzi z Białegostoku, bierze w nim „na warsztat" innego słynnego białostoczanina – Ludwika Zamenhofa, twórcę języka esperanto

Andrzej Kłopotowski

Komiks „Ideo" ujrzał światło dzienne na kilka dni przed kolejną rocznicą śmierci Ludwika Zamenhofa (twórca języka esperanto zmarł 14 kwietnia 1917 roku) – w okresie, gdy na Podlasiu święta obchodzili i katolicy, i ewangelicy, i prawosławni, i wyznawcy judaizmu. Komiks o wielokulturowości Białegostoku wieku XIX oraz o ideach się z niej wywodzących wpisał się więc w wielokulturowość współczesną.

Jacek Świdziński z językiem esperanto zetknął się jeszcze w dzieciństwie. Przez ciotkę - dziennikarkę kulturalną, która miała potrzebę zwiedzania świata. Była esperantystką. Dołączyła do niej też babcia Jacka i razem odwiedziły m.in. Paryż.

Jacek pamięta, że ciotka uczyła go wierszyków esperanckich. Z kolei druga z babć opowiadała, że po wojnie w jej domu ukrywał się żołnierz wyklęty. Używał on esperanta do stenotypowania - esperanto było szyfrem żołnierzy polskiego podziemia.

Przez lata Świdziński mijał w Białymstoku ulicę Zamenhofa i pomnik twórcy języka esperanto. Niby coś tam o esperancie i Zamenhofie wiedział...

- Ale moja wiedza okazywała się być trochę inna niż rzeczywistość - mówi. - Większością życia Zamenhofa nie był bowiem ten język, tylko najróżniejsze idee, np. chęć rozwiązania problemów Żydów, czyli narodu, który nie miał państwa i jest najczęściej prześladowaną mniejszością. Język był narzędziem.

Idea na „Ideo"

Idea, by komiks o Zamenhofie stworzył właśnie Jacek Świdziński, zrodziła się w głowie Katarzyny Lewończuk-Barańczuk z Białostockiego Ośrodka Kultury. Świdziński miał już na swoim koncie Paszport Polityki za album „Festiwal". Pomysł ten spodobał się ówczesnej szefowej Białostockiego Ośrodka Kultury (CLZ jest oddziałem BOK) Grażynie Dworakowskiej. I tak od słowa do słowa „Ideo" zaczęło nabierać kształtów.

- Jak zadzwoniła do mnie Kasia i zapytała, czy zrobię komiks, nie byłem pewien. Uznałem jednak, że temat jest ciekawy - wspomina Jacek Świdziński. - Zawsze chciałem zrobić komiks, który będzie popularyzatorski, non-fiction. Musiałem sobie o Zamenhofie doczytać. Dostałem książki, poczytałem i zgodziłem się. Zobaczyłem, że wiele rzeczy, które myślałem o esperanto, Zamenhofie, Białymstoku, ówczesnej Polsce i ówczesnym świecie, jest naiwnych. Nie wiem dlaczego, ale moja wizja wielokulturowego Białegostoku była taka, że różnorodność jest wspaniała. Natomiast język esperanto powstał nie dlatego, że się kochamy, mamy różne języki i robimy kolejny, który nas połączy, tylko raczej wynikał z nieporozumień między grupami narodowymi, które mówiły w swoich językach, trzymały się siebie, były antagonizowane. A te antagonizmy nie brały się z tego, że kultury się nie lubiły, tylko z nierówności ekonomicznych. Białystok był strasznie drenowany przez władze carskie, wykorzystywany jako miejsce, które będzie fabryką, taką specjalną strefą ekonomiczną, gdzie z pracownikiem można zrobić wszystko. Leżał w strefie wysiedlenia, gdzie wypędzano Żydów z imperium rosyjskiego. Poza tym był bardzo przeludniony, był jednym z najszybciej rozwijających się miast. Tu urodził się Zamenhof, którego rodzina przeniosła się z Tykocina. Doświadczenie przemocy, tarć i nieporozumień przyświecało mu w idei, która była pacyfistyczna, i w stworzeniu języka międzynarodowego - kontynuuje komiksiarz.

Sam temat uznał za „sympatyczny", bo kiedy mówi się o esperanto, na twarzach pojawia się uśmiech.

Jeden kanał to tekst, drugi – obraz

„Ideo" to komiks opowiadający o najważniejszych chwilach z życia Ludwika Zamenhofa i języka esperanto. Ale to też komiks, w którym autor do tematu podchodzi z humorem, przekąsem, momentami kąśliwie, momentami zgryźliwie komentując realia.

Sam autor zauważa, że na zlecenie miast i instytucji powstaje masa komiksów. Najczęściej jednak to rzeczy słabe, chałtury. Czegoś takiego nie chciał robić, by nie czuć wstydu. Gdy siada do komiksu, robi najlepszą rzecz, jaką się da. W tym przypadku też tak było.



FOT. EWELINA ZGIET

Komiks „Ideo" miał premierę 11 kwietnia w białostockim Centrum im. Ludwika Zamenhofa. Na zdjęciu – jego autor Jacek Świdziński

BIAŁYSTOK STAŁ SIĘ MANCHESTEREM PÓŁNOCY. W TEJ NAZWIE JEST JAKIEŚ „WOW". A NA OBRAZKU MAMY DYM, KOMINY, SMOG I KASZLĄCYCH LUDZI

I „Ideo" Świdziński zrobił po swojemu. To ciągle graficzny minimalizm, z jakiego znany jest od lat - choćby z komiksów „Wielka ucieczka z ogródków działkowych", „Powstanie film narodowy" czy „Zdarzenie 1908".

Fabularnie to opowieść o Ludwiku Zamenhofie, najważniejszych momentach z jego życia, o ruchu esperanckim, ideach i okolicznościach w jakich kiełkowały. Natomiast tekst często „rozjeżdża się" z tym, co mamy na rysunkach. Świdziński pozostawia niedopowiedzenia, puszcza oko do czytelnika.

- To największa siła komiksu, że jest dwukanałowy. Jeden kanał to tekst, drugi - obraz. Historię opowiada zewnętrzny narrator, zaś obraz wyraża mnie. Ustawiam się w tych obrazkach, a one czasami sobie dowcipkują z tego, co jest napisane. Niektóre są ironiczne, niektóre polemiczne, niektóre podkreślają jakiś ciekawy aspekt tego, co napisane. Np. Białystok stał się Manchesterem Północy. W tej nazwie jest jakieś „wow". Tymczasem na obrazku mamy dym, kominy, smog i kaszlących ludzi. Manchester nie był miejscem, w którym dobrze się żyło. To było miejsce wyjałowione przez fabryki i fabrykantów, którzy płacili minimalną kasę za pracę - podaje przykład.

Zauważa, że obrazki to „podśmiechujki" z tego, co sam napisał. I podaje kolejne przykłady: np. Zamenhof idący z Lajkonikiem przez Kraków czy cała sekwencja z pomnikami upamiętniającymi Zamenhofa. A dokładniej z pomniczkami, przy których Zamenhof w Białymstoku to prawdziwy monument.

Zamenhof – bohater Świdzińskiego

Zamenhof podpasował Świdzińskiemu.

- To ktoś taki, kto jest trochę sponiewierany przez życie, przez co troszeczkę mu współczujemy. Jednocześnie daje sobie radę i jakoś na tym wszystkim wychodzi. Zamenhof jawi mi się z jednej strony jako człowiek, który był świetnym politykiem, zmieniał swoje idee głównie dlatego, że sam się zmieniał, ale też dostosowywał je do rzeczywistości - opowiada Świdziński. - Zawsze chodziło mu o coś więcej, niż język. Początkowo idea szła równolegle z językiem. Z czasem to zaczęło się trochę rozjeżdżać. Ruch niekiedy stawał się oportunistyczny, dostosowywał do ówczesnych trendów, nurtów politycznych. Zamenhof odłączył się od ruchu, by propagować swoją ostateczną ideę, czyli homaranizm - humanizm.

Świdziński zauważa też, że Zamenhof czuł się samotny. Stworzył narzędzia, ale nie udało mu się stworzyć takiego kraju, o jakim marzył.

W komiksie mamy np. scenę, gdy młody Zamenhof zaczyna mówić w domu zlepkiem słówek wyjętych z różnych języków. To mieszanka ludzi żyjących w XIX-wiecznym Białymstoku sprawiła, że zaczął myśleć o wspólnym języku. Esperanto okazało się prostsze niż inny z języków międzynarodowych - Volapük. Był nawet pomysł, by esperanto stało się językiem pomocniczym w Lidze Narodów. Później było prześladowane przez Stalina i Hitlera, ale w socjalistycznej Polsce odrodziło się. Esperanto stało się wtedy przepustką do zagranicznych wyjazdów, do wymiany kontaktów z osobami z innych krajów.

Z kolei już w latach 90. wszyscy chcieliśmy być „zachodem" i wielu z nas uczyło się języka angielskiego. Esperanto odchodziło wtedy niejako do lamusa, przestało być atrakcyjne.

Została za to ciekawa idea pozwalająca poznawać historię i życiorys Zamenhofa.

- Co pociągało mnie w tej idei? Zamenhof. A w Zamenhofie to, że był człowiekiem w skomplikowanej, trudnej sytuacji jako Żyd mieszkający w Polsce, czy Polak żydowskiego pochodzenia - jak zwał tak zwał - wyjaśnia autor komiksu. - Zamenhof znalazł sposób na poradzenie sobie z tym i dał narzędzia innym, którzy nie potrafili sobie z tym poradzić.

Dziś językiem esperanto posługuje się przynajmniej milion osób na świecie.

Komiks „Ideo" wydały Białostocki Ośrodek Kultury oraz Kultura Gniewu (przy wsparciu Biblioteki Narodowej). W planach są spotkania promocyjne w Łodzi, Warszawie, Gdańsku, Radomiu, Wrocławiu czy Poznaniu. Niewykluczona jest esperancka wersja komiksu.

eprasa.pl 3c840005c8

LIPSTA W KUCHNI, FRELA W SYPIALCE. PARYZOL W ANTRYJU

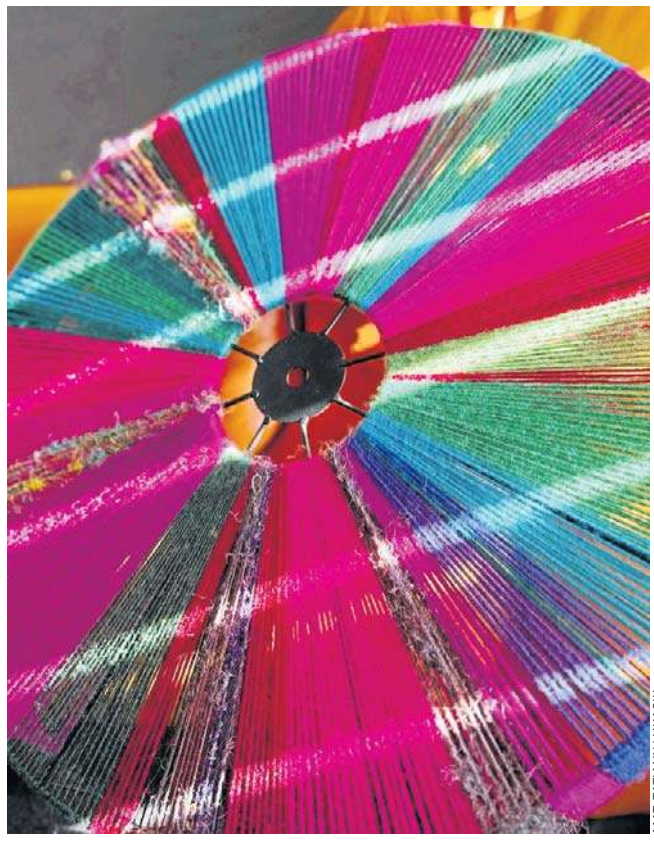
Jakla jest ciemna i elegancka, a sączące się przez nią światło nadaje wnętrzom tajemniczości. Frela z cicikami i Bombon tak kolorowe, że rozświetlą najbardziej ponury dzień. Jest jeszcze Kiecka, Zicherka, Lipsta, Paryzol. Mowa o rękodzielniczych, designerskich lampach, które powstają w Zabrzu, w pracowni Tatiany Łukasik, twórczyni marki latii.bleti

Magdalena Nowacka-Goik



MAT. TATIANY ŁUKASIK

Tatiana Łukasik tworzy lampy ze śląskimi akcentami i nazwami. Fascynuje ją rękodzieło i światło



MAT. TATIANY ŁUKASIK

Jej dzieła otrzymują oryginalną formę, kolory, kształt i nazwy. Każda z nich jest śląska



MAT. TATIANY ŁUKASIK

Jeśli komuś po czasie znudzi się kolor lampy, jest możliwość odświeżenia i zmiany kolorystyki

Każda z lamp jest inna w kształcie i każda ma śląską nazwę - (w zależności od skojarzeń ich twórczyni). Nie tylko oryginalne w wyglądzie, ale też z nazwy. Na razie już „uczą śląskiego" w Polsce, a w przyszłości, jak ma nadzieję ich twórczyni - na całym świecie

Jak śląska tradycja zainspirowała projektantkę oświetlenia

Urodziła się w Zabrzu. Tu też mieszka i ma swoja pracownię. Jej dziadkowie przyjechali na Śląsk tak, jak wielu innych w poszukiwaniu pracy. Ona sama wychowała się w domu z tradycjami, bo tata Ireneusz był górnikiem. Na początku pracował w zabrzańskiej kopalni Pstrowski, potem w kopalni Makoszowy.

- Zawsze żałowałam, że nie mówię płynnie gwarą, chociaż oczywiście jestem z nią osłuchana - mówi.

Tu spędziła dzieciństwo, skończyła studia w Akademii Ekonomicznej i...wyjechała na siedem lat - nad morze. Mieszkała w Gdyni. Ostatecznie jednak wróciła w rodzinne strony. - Śląsk jest po prostu bliższy memu sercu, tu czuję się najlepiej - przyznaje.

Mówi o sobie „światłoczuła lub światłoluba". Bo zawsze fascynowało ją światło. Jego odbicia, refleksy, gra cieni. Blask. Mocno działało na jej wyobraźnię, chociaż oczywiście nie przypuszczała, iż nomen omen - znajdzie to potem odbicie w jej zawodowym życiu pracy.

- Światło zawsze też kojarzyło mi się ze Śląskiem, bo nie ma go bez symbolicznej lampki górniczej, która rozświetla mrok kopalni. Tata przynosił czasem z pracy jakieś przedmioty, które już nie były używane i w zasadzie wylądowałyby na śmietniku. Pamiętam stary aparat telefoniczny, wykorzystywany pod ziemią, ale też właśnie lampki czy lampiony - mówi.

Frela, Lipsta i Zicherka

Chociaż z wykształcenia jest ekonomistką i logistykiem, od zawsze pociągały je prace ręczne - szydełkowanie, rzeźbienie w masie plastycznej. Jeszcze kiedy mieszkała w Trójmieście, zaczęła robić czapki. Po powrocie na Śląsk nadal myślała o tym, by skupić się na rękodziele, ale chciała połączyć je ze swoją fascynacji światłem. I tak zrodził się pomysł, aby projektować lampy. Ale z akcentem śląskim.

- To wynika właśnie z mojego przywiązania do Górnego Śląska, moich korzeni i fascynacji językiem. Zapisuje słowa po śląsku - te, które szczególnie mnie zachwyciły. I stąd czerpię inspirację do nazywania swoich lamp - opowiada.

To dla niej nie tylko biznes - czuje się przez to ambasadorką regionu. - Przemycam w ten sposób opowieść o moim regionie. Moje lampy trafiają do różnych stron. Czasem klienci mają problem z wymówieniem nazwy. Oczywiście wyjaśniamy razem z mężem, co ona oznacza. Często staje się to okazją do rozmowy, z czym kojarzy im się Śląsk. Obalamy stereotypy, pokazujemy zmiany, jakie tu zaszły. I chociaż mamy też lampy w ciemnych kolorach, większość jest wielobarwna. Bo na Śląsku nie dominuje czarny kolor. Mamy kolory, mamy też pełno zieleni - mówi. Na przykład takiej w odcieniu jaka jest Lipsta z frędzlami.

Lampy z włóczki i sznurka na zamówienie

Metalowy stelaż projektuje jej mąż Piotr, architekt. Ona zajmuje się oplotem lamp, wykonanym z włóczek lub sznurków. - Staram się korzystać z materiałów ekologicznych. Czasem dostaję włóczkę z recyklingu, ze starych, sprutych swetrów. Myślę też o wykorzystaniu tkanych siatek metalicznych, może też gipsu i masy papierowej - dodaje. Inspiracją do nadania formy jest natura. To w jej obrazie widzi swoje lampy - na przykład w kształcie powalonego pnia w lesie. Co istotne, jeśli po jakimś czasie komuś znudzi się kolor lampy, istnieje możliwość odświeżenia istniejącej lampy (zmiany kolorystyki i formy na bazie stelaża). To projekt goEco.

Wykonanie najmniejszej lampy trwa dość szybko, czasem wystarczą dwa dni dni, aby powstała pojedyncza sztuka. Ale już w przypadku zamówienia od firm, które chcą mieć co najmniej kilka sztuk i często o większych gabarytach (nawet o wysokości do 3 metrów), praca trwa kilka tygodni. Każdy model zależy od oczekiwań klienta. - Często najpierw przesyła mi zdjęcia wnętrza, a ja staram się dobrać kształty, kolory, faktury włóczek tak, aby dobrze się komponowały - opowiada.

Zazwyczaj jej lampy ozdabiają (poza firmowymi przestrzeniami) salony, przedpokoje, jadalnie lub sypialnie. - Chociaż miałam raz sytuacje, kiedy zamówiono u mnie kinkiety do łazienki. Moje lampy zdobią też wnętrza hotelowe, oświetlają recepcje. Są w restauracjach, salach konferencyjnych, a nawet w gabinetach lekarskich - wylicza.

Jakla wygląda oczywiście jak kurtka-żakiet z tradycyjnego, śląskiego stroju. Bombon, czyli lampa w kształcie cukierka. Lipsta - fikuśna, z frędzlami, prawdziwie zaczepna dzioucha. Jest i druga Lipsta - czarno-złota, taki Śląsk z ArtDeco. Zicherka - smukła i podłużna jak agrafka. No i kolorowa Kiecka. Ale chyba najbardziej barwna jest Frela z cicikami.

Każdy prototyp testuje najpierw u siebie w domu. - Mamy nieduże mieszkanie, ale zanim wystawimy jakiś model do sprzedaży, muszę mieć pewność, że nie tylko ładnie wygląda. Ważne jest jak współgra ze światłem, jaki tworzy klimat. Czyli...jak „światło świeci przez latii bleti" - śmieje się.

eprasa.pl 3c840005c8

Polska
Poniedziałek, 20.04.2026

TRIBBS: JEŚLI CHCĘ COŚ OSIĄGNĄĆ, TO MUSZĘ SIĘ ZA TO ZABRAĆ TU I TERAZ

Naprawdę nazywa Mikołaj Trybulec. Oglądamy go właśnie co sobotę wieczór w telewizyjnej Dwójce jako trenera „The Voice Kids". Nic dziwnego: od lat jest cenionym didżejem, producentem i twórcą eurowizyjnych hitów w kraju i za granicą. Nam zdradza, jaka jest cena tego sukcesu

Paweł Gzyl

Wraz z wkroczeniem do „The Voice Kids" twoja popularność wskoczyła na wyższy poziom. Czujesz się trochę celebrytą?
Nie. Na pewno nie celebrytą. W ogóle nie lubię tego słowa. Na pewno jednak ta większa popularność jest obecnie przeze mnie bardziej odczuwalna. To ciekawe doświadczenie. Cały czas staram się jednak mocno stać obiema nogami na ziemi i cieszę się, że ciągle jestem sobą.

Jak sobie radzisz z tą rosnącą sławą?
Już od dawna byłem rozpoznawalny na ulicy. Ale teraz zdarza się to częściej. Ostatnio byłem na poczcie i rozpoznała mnie tam pani w wieku moich rodziców. To mnie dosyć mocno zaskoczyło. Byłem też u dentysty i siedząca tam naprawdę starsza pani spytała mnie: „Pan z The Voice Kids?". Rozpoznaje mnie więc inny krąg odbiorców niż do tej pory – nie tylko użytkownicy TikToka, ale też widzowie telewizyjnej Dwójki. To bardzo przyjemne.

Co sprawiło, że zdecydowałeś się zasiąść w fotelu trenera „The Voice Kids"?
Dostałem zaproszenie do pełnienia tej funkcji. Nigdy bym nie odmówił takiej propozycji, bo zawsze było moim marzeniem, aby zostać trenerem w „The Voice". Kiedy więc usłyszałem, że to może się stać, robiłem wszystko, aby to się stało. I bardzo się cieszę, że do tego doszło.

Po ogłoszeniu twojego nazwiska, było w necie trochę głosów oburzenia w stylu: „Jak ktoś, kto nie śpiewa, ma być trenerem śpiewu?". Jak byś im odpowiedział?
Płaczę wtedy z przykrości i ludzie przestają mnie hejtować. (śmiech) A tak na poważnie: myślę, że to idealnie odnosi się do funkcji trenera. Bo jak pomyślisz o trenerze, to nie musi być osoba, która była mistrzem świata w danej dyscyplinie, tylko powinna znać się na niej. Nagrałem w swym życiu tysiące wokali i często musiałem być wokalnym coachem, który podpowiada, jaką barwą zaśpiewać, w jaki sposób, czy co poprawić, żeby brzmiało to lepiej. Mam więc bardzo dużą wiedzę na ten temat. Zwłaszcza że świat studia i produkcji to inna kategoria niż świat estrady i występów na scenie. Tu i tu stosuje się zupełnie inne techniki wokalne. Dlatego uważam, że posiadam duże doświadczenie i mam się czym podzielić.

Jak się odnalazłeś między Cleo i Blanką w roli oceniającego dziecięce występy?
Bardzo fajnie. Obie znałem wcześniej, choć Cleo nie tak dobrze jak Blankę. Bardzo mnie zaskoczyła otwartość Cleo, to, że była dla nas tak przyjazna i wspierająca. Podczas któregoś spotkania opowiedziała nam, jak to ona została ciepło przyjęta przez Tomsona i Barona, którzy przywitali ją i pokazali jej drogę, kiedy po raz pierwszy pojawiła się w programie. Dlatego potem postanowiła dalej przekazać tę pozytywną energię. To było bardzo miłe i cieszę się, że właśnie takie osoby, a nie inne zasiadają ze mną na tych fotelach.

Momentami mam wrażenie, że twoje koleżanki trenerki trochę cię zdominowały i zakrzyczały. Nie masz takiego poczucia?
Nie. Lubię odnajdywać swoją przestrzeń w momentach, w których sam chcę ją odnaleźć. I myślę, że to fajnie zagrało w programie. Kiedy czasem nie mam nic do powiedzenia, to wolę nic nie mówić. Dlatego cieszę się, że dziewczyny mają mocną energię i dużo z siebie dają. Również wsparcie tym dzieciakom. Myślę, że to fajnie wypadło i dobrze odnalazłem się w roli tego spokojniejszego trenera.

Na pewno wyróżniasz się wyrazistym wizerunkiem: wyglądasz trochę jak postać z kreskówki dla dzieci. Skąd pomysł na taki image?
W show-biznesie mówi się, że „co się nie dośpiewa, to się dowygląda". (śmiech) To jest mój sposób na to, by czasem na niektórych imprezach błyszczeć, nie musząc wygłaszać żadnych kontrowersyjnych opinii czy nie mówić o kimś źle, bo nie lubię tego robić. Wystarczy, że ubiorę się w garnitur w róże, a już jest mnóstwo newsów na mój temat w internecie.

Jakie znalazłeś porozumienie z dzieciakami ze swojej drużyny?
Doskonałe. Skumaliśmy się tak ze sobą, że mamy teraz wspólną grupę na Messengerze i komentujemy sobie każdy odcinek programu. Finaliści dostali zaproszenie do mojego studia, gdzie każdy z nich będzie więc mógł zrobić sobie swoją piosenkę. To wspaniałe dzieciaki i co bardzo zaskakujące, bardzo mądre i dojrzałe jak na swój wiek. Do tego naprawdę dobrze znoszące presję i stres. Bo przecież nie wszystkie wygrywają, a rozumieją, że to dla nich wspaniała przygoda i są za to bardzo wdzięczne.

W dziecięcych programach typu talent-show trzeba mieć wyjątkowo delikatne podejście do uczestników. Jak sobie z tym poradziłeś?
Akurat z tym nie mam problemu. Raczej odwrotnie: moim problemem bywa to, że jestem zbyt delikatny czy zdystansowany. Zawsze jestem dla dzieciaków w pełni wspierający. Dlatego tak dobrze czuję się w tej roli.

Gdybyś sam był dzisiaj dzieckiem, zgłosiłbyś się do takiego programu?
Nie zgłosiłbym się, bo nie mam nawet jednego procenta talentu, jaki mają te wszystkie dzieciaki. Moja droga była zupełnie inna i dużo bardziej wyboista. Ale przez to może być dla nich inspiracją, że przy odpowiednio ciężkiej pracy i samozaparciu, można dojść nawet do pozycji fotela trenera w „The Voice Kids". (śmiech)

Jesteś słusznego wzrostu i za młodu trenowałeś siatkówkę. Dlaczego nie poszedłeś dalej tym torem, tylko zwróciłeś się w stronę muzyki?
Dla mnie sport i muzyka były zawsze na równym poziomie aż do szesnastego roku życia. Wtedy zdałem sobie sprawę, że w siatkówce raczej nie będę mistrzem świata. Postawiłem więc w stu procentach na muzykę. Początkowo byłem basistą, a dopiero mając dziewiętnaście lat zacząłem produkować nagrania. Następne siedem lat zajęło mi osiągnięcie odpowiednich umiejętności i powołanie do życia projektu o nazwie „Tribbs". To była więc długa, ale ciekawa droga. Ale sport bardzo mnie ukształtował i nauczył dyscypliny. To był wspaniały czas, którego nawet momentami mi dzisiaj brakuje.

Jako nastolatek grałeś na gitarze basowej jako muzyk sesyjny. To była dobra szkoła muzycznego rzemiosła?
Świetna. Doceniam ten czas. Cieszę się, że mimo iż nie mam szkoły muzycznej, jestem sprawnym instrumentalistą. Znam jednak wielu producentów, którzy nie są muzykami i też sobie świetne radzą. Wydaje mi się więc, że jest dużo różnych dróg. Ja sobie cenię mój warsztat. Niektóre rzeczy przychodzą łatwiej, kiedy zna się teorię muzyczną i gra się na jakimś instrumencie.

Co sprawiło, że zainteresowałeś się produkcją muzyki?
Kiedy kończyłem liceum, zastanawiałem się nad kierunkiem studiów. Mogłem iść na Akademię Muzyczną, by kształcić się w grze na gitarze basowej, ale stwierdziłem, że chyba bym się tam nudził. Pomyślałem więc, że zrobię coś zupełnie innego. Dostałem się na studia produkcji muzycznej w Londynie – ale ostatecznie tam nie pojechałem. Jedną z rzeczy, które były niezbędne, aby dostać się do tej szkoły, było przygotowanie i wysłanie dwóch nagrań demo. Tak powstały dwie moje pierwsze produkcje muzyczne, stworzone po to, by dostać się na studia.

Sam opanowałeś wszystkie potrzebne programy i narzędzia do produkcji muzyki na komputerze?
Tak. W stu procentach. Uczyłem się od zera tylko i wyłącznie z YouTube'a i z innych dostępnych źródeł w internecie. Dziś jest tam wszystko. Wystarczy tylko odpowiednia motywacja.

Czyli każdy może zostać producentem muzycznym?
Oczywiście. Teraz to już nawet nie trzeba się tego wszystkiego uczyć, bo jest sztuczna inteligencja, która wykona za nas taką pracę. (śmiech)

Pierwsze sukcesy w solowej działalności pod szyldem Tribbs przyniosły ci taneczne wersje klasycznych polskich przebojów Budki Suflera, Maanamu czy Krzysztofa Krawczyka. Jak wpadłeś na ten pomysł?
To miało być początkowo muzycznym żartem. Zrobiłem to tylko i wyłącznie w tym celu. Pomyślałem, że będzie to absurdalne i śmieszne. Kiedy udostępniłem pierwszy taki teledysk do „Balu wszystkich świętych", okazało się, że nie każdego to śmieszy, tylko większość ludzi się tym jara. To było dla mnie bardzo duże zaskoczenie. Społeczność internetowa chciała mnie wypromować i sprawić, żebym robił więcej tych przeróbek. Poszedłem więc za ciosem i zrobiłem kolejne. Natomiast zawsze miałem do tego duży dystans, bo był to śmieszny pomysł, który niespodziewanie wypalił. Ale myślę, że to nic wyjątkowego: w historii muzyki popularnej było wiele zespołów, które powstały dla żartu, a odniosły poważny sukces.

To powodzenie tych remiksów sprawiło, że postanowiłeś pokazać ludziom własną twórczość?
Właściwie zacząłem produkowanie muzyki od autorskich nagrań. To te przeróbki były dla mnie czymś, co przyszło później. Ale to one sprawiły, że stałem się rozpoznawalny i dla ludzi to było coś nowego, kiedy zacząłem wydawać swoje numery. Miałem jednak ochotę je opublikować, aby coś się zmieniło. Tak pojawiły się piosenki „Dzięki, że jesteś" z Lanberry, „Close Your Eyes" ze Stephenem Puthem czy Halo" z Quentinem Moismannem.

Kiedy zacząłeś tworzyć własne utwory, od razu była to muzyka taneczna w stylu Calvina Harrisa czy Aviciiego. Co cię fascynuje w takiej stylistyce?
Kiedy zabrałem się za tworzenie muzyki, zainteresowało mnie również kreowanie własnej marki i wizerunku. Zrobiłem bowiem kilkaset numerów i zacząłem zastanawiać się, co z tym dalej począć. Rozkminiałem co wpływa na to, że ludzie chętnie słuchają jednego rodzaju muzyki, a drugiego – nie. I tak doszedłem do wniosku, że jeśli chcę robić własne nagrania, to muszę najpierw zostać didżejem. Bo tak się kojarzy ktoś, kto sam produkuje swoją muzykę. Uznałem, że to będzie najprostsze i najklarowniejsze. Bo określenie „producent muzyczny" jest dla wielu ciągle zagadką. Ja musiałem mojemu tacie ze trzydzieści razy tłumaczyć, czym się zajmuje taka osoba. (śmiech) Zostałem więc didżejem – a że lubię bardzo różną muzykę i słuchałem również tej tanecznej, nie miałem z tym problemu.

Ale z drugiej strony twoje nagrania zawsze mają chwytliwą melodię, którą niesie głos wokalisty lub wokalistki. Czyli pop też cię pociąga?
Naturalnie. Zawsze marzyłem, aby moje nagrania leciały w radiu. Dlatego pop był dla mnie ciekawy.

Działasz dalej jako didżej?
Oczywiście. Zapraszam na moje występy, będzie ich bardzo dużo w tym roku. Gram zarówno swoje znane, jak i zupełnie nowe numery, a do tego remiksy i mash-upy, czyli połączenia kilku utworów naraz w niekonwencjonalnych podejściach. Tworzę również wizuale, właściwie z występu na występ dodaję co najmniej jeden nowy. Sięgam też po instrumenty – gitarę czy bas. Dzieje się więc dużo fajnych rzeczy.

Podobno dużo mówisz do publiczności w czasie swego setu.
Na pewno mniej niż kiedyś. Czasami odpalam się i gadam coś głupiego. (śmiech) Kiedy indziej nic nie mówię, jak widzę, że ludzie chcą bardzo tańczyć – na przykład o pierwszej w nocy na Juwenaliach. Wtedy po prostu gram, bo tego wszyscy oczekują.

Od razu zacząłeś działać nie tylko w Polsce, ale i za granicą.

eprasa.pl 3c840005c8

Od początku często zastanawiam się nad swoją karierą zagraniczną. Można ją zdefiniować na wiele różnych sposobów. Dla każdego sukces oznacza bowiem coś innego. Miałem już przeboje, które były grane w radiu w Czechach, w Szwecji czy w Niemczech. Ale nie odczuwam za bardzo, abym był rozpoznawalny za granicą. Kiedy w Polsce radio gra czyjąś piosenkę, to można powiedzieć, że robi on karierę. Za granicą to tak nie wygląda. W jakimś stopniu na pewno jednak osiągnąłem już sukces poza Polską.

To takie nowoczesne narzędzia dystrybucji i promocji muzyki jak Spotify czy YouTube umożliwiają ci globalną ekspansję?
Najbardziej przydają się social media – TikTok, Instagram i Facebook. Spotify jest dobrym dystrybutorem muzyki, ale w ich interesie jest nie twórca czy wykonawca, a raczej słuchacz. Procent zysku od odtworzenia utworu, jaki oferują, jest bowiem nazbyt znikomy. Ja akurat nie mam z tym problemu, bo mam w dzisiaj w Spotify ponad cztery i pół miliona słuchaczy miesięcznie. Ale artyści, którzy mają dwieście czy sto tysięcy odtworzeń, nie odczuwają, że w ten sposób w jakiś sensowny sposób zarabiają. Kiedyś sprzedaliby tysiąc płyt i mieliby z tego konkretny zysk. A od Spotify dostają jakieś grosze. Ostatnio rozmawiałem o tym z jedną z koleżanek po fachu, która ma węższą grupę słuchaczy i dla niej przychody z digitalu praktycznie nie istnieją.

Ty łączysz to wszystko, bo korzystając z cyfrowej dystrybucji swych nagrań, wydałeś też trzy lata temu swą debiutancką płytę na kompakcie.
Teraz mieszkam w Londynie i zauważyłem, że ludzie dużo słuchają tam muzyki z winyli. Dlatego jest mnóstwo sklepów z takimi płytami. Dzięki temu odkryłem sens wydawania muzyki w tej postaci. Dlatego może kiedyś coś opublikuję na winylu. Generalnie jednak sprzedaż muzyki to kwestia, która jest dla mnie nieodgadnioną zagadką. Ciężko mi się nad wszystkim skupić na raz, dlatego za dużo o tym teraz nie myślę.

Ta przeprowadzka do Londynu to kolejny etap twojego podboju światowych rynków?
Staram się tu poznać jak najwięcej wpływowych ludzi. I już mi się to udaje: współpracuję obecnie ze znaną piosenkarką Cheryl Lloyd i raperem Professorem Greenem. Jest tam mnóstwo wspaniałych artystów i oni są właściwie na wyciągnięcie ręki. Natomiast problem jest taki, że skontaktowanie się z nimi trwa bardzo długo. Dużo czasu czekam nieraz na odpisanie na maila czy umówienie sesji. Jakby jakoś wolniej tam ludzie żyli. (śmiech) Generalnie to rynek wielu możliwości. Nie chcę jednak zaniedbywać tego, co robię w Polsce. Tym bardziej że tutaj więcej mogę i ludzie szybciej odpisują na maile. (śmiech)



FOT. MATERIAŁY PRSOWE

Tribbs: Zawsze jestem dla dzieciaków w pełni wspierający. Dlatego tak dobrze czuję się w tej roli

Sam inwestujesz w te zabiegi o karierę za granicą?
Tak. Sam opłacam sobie teraz mieszkanie w Londynie. Staram się mądrze inwestować pieniądze, które zarobiłem w Polsce, żeby potencjalnie mogło się to kiedyś opłacić.

W międzyczasie zacząłeś tworzyć piosenki na Eurowizję – najpierw dla zagranicznych wykonawców, a potem dla polskich. Co cię pociągnęło w tę stronę?
To był łut szczęścia. Kilka lat temu pojechałem na obóz twórczy dla songwriterów i producentów, gdzie łączyliśmy się w pokoje i tworzyliśmy od zera nowe piosenki. I właściwie już pierwszego dnia napisałem utwór, który dostał się na czeskie preselekcje do Eurowizji w 2019 roku. Po prostu wokalista Lake Malawi zdecydował się startować właśnie z tym numerem. I kiedy okazało się, że wygrał te preselekcje i jedzie z „Friend Of A Friend" na Eurowizję, w kolejnych latach pojawiły się propozycje napisania utworów dla wykonawców z innych krajów – najpierw z Hiszpanii, a potem z Austrii i Szwajcarii. Ciekawostką jest, że miałem swój udział również w ubiegłorocznej edycji konkursu. Trzymam się bowiem blisko ze szwajcarską ekipą, która go organizowała, dzięki czemu pomagałem przy stworzeniu akompaniamentu do parady flag podczas finału w Bazylei. Można więc było i wtedy usłyszeć moją muzykę na Eurowizji.

Jaka jest twoja recepta na eurowizyjny przebój?
Szczerze? Nie mam żadnej. W tym roku zrobiłem piosenkę po polsku i nawet nie dostałem się do naszych preselekcji. (śmiech) Jak więc widać, nie ma zasad. To chyba kwestia poświęconego na to czasu, a ja go poświęciłem bardzo mało. Może dlatego się nie dostałem. Tak naprawdę ciężko powiedzieć – zawsze wygrywa coś innego. Choć są pewne utarte schematy, które dają większe szanse: ballady czy kontrowersyjne tematy. To może pomóc, na pewno liczy się nie tylko muzyka, ale też wykonanie, wizerunek i scenografia.

Z którą swoją piosenką na Eurowizję wiązałeś największe nadzieje?
Chyba z tą dla Czechów. To była moja pierwsza przygoda z tym konkursem, było to więc dla mnie bardzo ciekawe. Mam też duży sentyment do utworu „Watergun", który zaśpiewał w 2023 roku Remo Forrer, reprezentujący Szwajcarię. Co ciekawe – singiel z tym utworem pokrył się tam platyną. Niedawno chciałem odebrać przyznaną mi za to nagrodę z poczty, ale okazało się, że przesyłkę zatrzymał Urząd Celny, każąc się tłumaczyć, co to jest i ile jest to warte. Musi więc ładnie wyglądać. (śmiech) Na razie więc jej nie mam.

A którą ze swoich polskich piosenek na Eurowizję cenisz najbardziej?
Napisałem dwie: „River" Ochmana i „Solo" Bianki. Oba te utwory wygrały polskie preselekcje zupełnie przypadkowo. „Solo" nie pisaliśmy pod kątem Eurowizji, Blanka zgłosiła się z tym utworem sama. Z kolei na napisanie „River" mieliśmy bardzo mało czasu, więc potem zdziwiliśmy się, jak bardzo się on ludziom spodobał. No ale Krystian jest wyjątkowym wokalistą i ta jego operowa barwa głosu zachwyciła wiele osób. Blanka też wykonała kawał dobre roboty, zrobiła gigantyczny progres w tak krótkim czasie i udowodniła Polakom, że jak się chce, to można i ma naprawdę kawał charakteru.

Nie masz ochoty sam wystąpić na Eurowizji jak choćby inny polski producent i didżej – Gromee?
Raczej nie. To konkurs wokalny i powinni na nim występować wokaliści. Nie mam więc takiej ochoty i ambicji. Nie podoba mi się to, że tam wszystkie instrumenty lecą z playbacku. Jak długo tak będzie, to nie ma sensu. Jakby mógł zagrać na żywo chociaż trzy akordy, to może bym się skusił. Ale na razie nie.

Przygotowałeś już piosenkę na tegoroczną Eurowizję Junior dla zwycięzcy „The Voice Kids"?
Nie. Jeszcze nie wiemy przecież kto wygra.

Czyli siądziesz do tego, kiedy poznamy zwycięzcę?
Nie jest powiedziane, że to ja mam ją przygotować. Ale jeśli TVP zaprosi mnie do współpracy, to na pewno chętnie wezmę w tym udział.

Nie ukrywasz, że są ciemne strony pracy w show-biznesie: od 10 lat cierpisz na zespół jelita drażliwego. To efekt nieustannego stresu?
Tak. Coraz bardziej jestem pewny, że to właśnie reakcja na stres. Niektórzy mają inne – jedni atopowe zapalenie skóry, drudzy problemy z tarczycą, a u mnie objawia się to problemami jelitowymi. Stosuję więc różne diety i leki i generalnie jest super, ale kiedy pojawia się stres, to zaczynają się od razu wszystkie dolegliwości. To sposób, w jaki moje ciało reaguje na to, że żyjemy w nieustannym napięciu. Nie tylko artyści, ale wszyscy ludzie. W każdej pracy odczuwa się dziś bardzo duży stres.

Gdyby nie te zdrowotne problemy, osiągnąłbyś więcej?
Paradoksalnie może mniej? Te ciężkie chwile motywują cię do działania i mówią ci, że jesteś tylko chwilę tutaj na Ziemi i nie masz nic do stracenia. Pamiętam, że miałem czasem takie kryzysy, iż myślałem, że nie dam rady tego dalej ciągnąć. Ale ostatecznie bardziej mnie to motywowało, niż demotywowało, żeby udowodnić sobie i innym, że się nie poddam. Podobnie zresztą problemy psychiczne związane z depresją sprawiają, że stąpam twardo po ziemi i wiem, że jeśli chcę coś osiągnąć, to muszę się za to zabrać tu i teraz.

A jak odpoczywasz od muzyki?
Mój kolega złożył mi nowy komputer i dużo gram na nim w gry. Uprawiam też pickleball – czyli tenis na hali. Jeśli ktoś tego nie zna, to gorąco polecam, bo to prężnie rozwijający się sport.

Masz w tym wszystkim na pewno wsparcie żony Żanety, która jest z tobą od dziewięciu lat. Jej obecność jest dla ciebie ważna?
Kluczowa. Zawsze idziemy razem przez to wszystko. Ona była ze mną długo, zanim narodził się Tribbs. I bardzo się do tego przyczyniła zakulisowo, bo ma naprawdę fajne pomysły. Wiele z tego, co pokazuję, to właśnie ona wymyśliła, tylko nie chce się tym chwalić. Choćby te bluzy z uszkami na kapturach, które rozdaję w „The Voice Kids" dzieciakom z mojej drużyny. Dużo jej pomysłów jest w moich teledyskach czy na scenie. Często konsultuję z nią, jak ktoś powinien tańczyć, ruszać się czy mówić. Jest poza tym dla mnie wielkim wsparciem psychicznym, tylko ona rozumie, jak to wszystko nie jest dla mnie łatwe.

Jak się poznaliście?
Na planie teledysku do piosenki mojego duetu Linia Nocna, który powstał, jeszcze zanim zacząłem działać jako Tribbs. Potrzebowaliśmy fajnej dziewczyny, która zagra w klipie i nasza wokalistka Mimi Wydrzyńska zaprosiła swoją koleżankę, która pochodzi z tego samego miasta co ona. I to była właśnie Żaneta.

W tym roku stuknęła ci trzydziestka. To dobry czas na założenie rodziny. Masz takie plany?
Tak. Powoli dojrzewamy do tej decyzji. Myślę, że to będzie ważny moment w moim życiu.

Nie boisz się, że będziesz miał mniej czasu na robienie muzyki?
Szczerze powiedziawszy do niedawna nie wyobrażałem sobie mieć dziecka. Ale też nigdy nie wyobrażałem sobie mieć żony – a mam ją od dwóch lat i jest fajnie. Działa to więc chyba na tej samej zasadzie. Podobno mam zadatki na dobrego ojca, ale dopóki to się nie stanie, będzie dla mnie jakąś abstrakcją. Na razie więc sobie tego w ogóle nie wyobrażam.

eprasa.pl 3c840005c8

Polska
Poniedziałek, 20.04.2026

„Diabeł w mundurze” - tak policjanci opisują człowieka, który był ich przełożonym w jednym z najważniejszych wydziałów KWP we Wrocławiu. Zdaniem prokuratury znęcał się nad podwładnymi i przekraczał uprawnienia. Pokrzywdzeni opowiedzieli nam, co przez lata miało dziać się w niejawnej jednostce

Aneta Kolesińska

NACZELNIK SIAŁ TERROR I GROZĘ. KIPIAŁ FURIĄ

Dawni podkomendni wspominają: Gdy na korytarzu rozlegały się jego kroki, wszyscy pracownicy momentalnie schodzili mu z drogi, modląc się, żeby ich nie zauważył. Jego obecność w biurze zwiastowała upokorzenia, wrzaski i demonstrację siły.

Do tego dochodziły groźby i jeszcze „zeszyt uwag”, w którym naczelnik wydziału służby mundurowej notował „nagany” dla pracowników. - Pomimo podwójnych drzwi w jego gabinecie, wrzaski było słychać w pokoju obok.

Nie hamował się. Obrażał, poniżał, groził zwolnieniem - wspomina Jan, który pamięta naczelnika jeszcze z czasów przed jego kursem oficerskim.

Ryszard J. służbę w policji zaczynał w lipcu 2003 roku od pracy w Wydziale Prewencji Komisariatu Policji Wrocław-Krzyki. Pierwsze stanowisko kierownicze objął w marcu 2013 roku, jako kierownik sekcji w Wydziale Techniki Operacyjnej KWP we Wrocławiu. Na tym stanowisku służbę pełnił do maja 2016 roku, aż do awansu na stanowisko zastępcy naczelnika WTO KWP. W sierpniu 2020 r. został naczelnikiem WTO.

Osoby, które zdecydowały się opowiedzieć o swoich przeżyciach, to nie są zwykli policjanci. To nie ci w mundurach, pilnujący porządku na ulicach czy drogach. Ich wydział należy do pionu kryminalnego, a funkcjonariusze tegoż (Wydziału Techniki Operacyjnej) często nazywani są „tajniakami”.

Działają przy poważnych, nierzadko wymagających śledztwach, a co najważniejsze, w ukryciu. Nie za biurkiem w komendzie, bo często nawet nie mieli tam wstępu, by nie można ich było powiązać z pracą operacyjną w terenie. Śledzą podejrzanych, zakładają podsłuchy, przenikają do środowisk przestępczych, zdobywając dowody i informacje mało oficjalnymi kanałami. Ich praca jest tajna i bywa bardzo stresująca. Policjant operacyjny, który zostanie przeniesiony do „jawnej” jednostki, jest „spalony”, nie może wrócić na poprzednie stanowisko. Dlatego groźby naczelnika, mówiące o ich zwolnieniu lub przeniesieniu, były przez nich traktowane poważnie.

Początkowo nic nie wskazywało na to, że praca z nim będzie przypominać koszmar. Dał się poznać jako uprzejmy, charyzmatyczny i niezwykle inteligentny człowiek, zawsze chętny do pomocy.

- To jego „miłe” i profesjonalne oblicze, które znają w Komendzie Wojewódzkiej, to fasada. Gdy się pojawiał w naszej jednostce (Ryszard J. pracował w budynku komendy wojewódzkiej, ale czasem odwiedzał swoich podkomendnych w niejawnej siedzibie, przyp. red.), zastanawialiśmy się, w jakim humorze będzie i do kogo lub czego się przyczepi - opowiada Paweł, jeden z byłych funkcjonariuszy. Te słowa potwierdza inny były policjant, Jakub. - Mijaliśmy się na korytarzu, rozmawialiśmy normalnie, żartowaliśmy, ale potem coś się zmieniło - mówi. Punktem zwrotnym miało być ukończenie przez Ryszarda J. kursu oficerskiego w Szczytnie.

- Po tym wszystko zaczęło się sypać - mówi Tomasz, kolejny operacyjny, i wyjaśnia: - A gdy został zastępcą naczelnika, atmosfera zmieniła się niemal z dnia na dzień. Koledzy z sekcji, którą wcześniej kierował, ostrzegali nas. Ale my nie wierzyliśmy, uznaliśmy, że przesadzają - wyjaśnia.

Lata upokorzeń

Uwierzyli, kiedy ich przełożony z dnia na dzień coraz bardziej ich dociskał. Według naszych rozmówców słyszeli od niego, że są kłamcami, nieudacznikami nadającymi się tylko do noszenia poczty i przynoszą wstyd całej jednostce. Byli publicznie mieszani z błotem, notorycznie podejrzewani o spisek i umyślne zaniedbania w czasie służby.

- Obrażał nas na odprawach, na indywidualnych spotkaniach, a oskarżenia, często absurdalne, padały niemal codziennie - opowiadają, a Jan precyzuje: - Stres pojawiał się już w niedzielne popołudnie, kiedy człowiek przypomniał sobie, że jutro musi iść do pracy. Setki gróźb i wyzwisk sprawiały, że żyłem w ciągłej niepewności, co będzie następnego dnia - mówi. Wspomina, że gdy jeszcze pracował pod dowództwem naczelnika, rozmowy w cztery oczy w jego gabinecie były na porządku dziennym i nigdy nie kończyły się dobrymi wieściami. - Nie zliczę, ile razy po sesji pełnej krzyków kazał mi się wynosić. Z równowagi wyprowadzał go najmniejszy błąd lub jego zdaniem źle postawione pytanie.

Tymczasem to właśnie zawiłe pytania szefa i odwracanie narracji najczęściej były powodem ich frustracji i niemocy, nie tylko zawodowej.

„Jak mogliście tego nie wiedzieć?”, „Czemu tego nie przewidziałeś?”, „Kto ci kazał tak zrobić?”. W wielu sytuacjach nie mieli prawa dyskutować. Gdy próbowali, najczęściej padały wyzwiska i groźby o zwolnieniu.

Takie traktowanie trwało latami. Według zarzutów śledczych z Nysy, miał znęcać się nad podwładnymi i nadużywać uprawnień przez blisko dekadę, czyli od 2014 do 2023 r. To, co działo się przez ten czas, nasi rozmówcy nazywają piekłem.

Można by się zastanawiać, jakim cudem policjanci z takiej jednostki, mający specjalistyczną wiedzę i lata doświadczenia w niebezpiecznych sytuacjach, mogli dawać się tak traktować? Wybiegać z płaczem z gabinetu szefa? Rzucać przedmiotami z frustracji, do której ich doprowadzał? Jak mówią: „przy tym człowieku zwyczajnie połykaliśmy języki”.

„Dochodzą mnie słuchy...”

Pytamy więc o te krzyki, agresję, dociekliwość i sprawdzanie pracy policjantów. Może miał powody? Może rzeczywiście zespół nie pracował, jak powinien? Może ich błędy były rażące, wynikały z zaniedbania, zaniechania? Nasi rozmówcy przyznają, że owszem, błędy się zdarzały, jak wszędzie przy tak dynamicznej i obciążającej służbie, ale irytacja szefa była niewspółmierna do winy i niedopuszczalna w relacji podległości służbowej. Bo często nie chodziło o błąd, tylko o to, by wzbudzić poczucie winy, lęku, niepewności. Jak mówią, ich winą była nawet... pogoda.

- Ganił nas za wszystko, nawet jeśli jakieś potknięcie nie miało żadnych konsekwencji albo nie zależało od nas, jak choćby padający śnieg - tłumaczy kolejny policjant, Wiktor, i wspomina jedną z zimowych podróży służbowym samochodem. Miasto było wręcz zasypane śniegiem. Wszędzie korki. Do jednostki wracali powoli. Finalnie dojechali godzinę później, niż zakładali. - Nie dał sobie tego wytłumaczyć, od razu zarzucił nam kłamstwo. Przecież nikt specjalnie nie chce opóźnić akcji. Według niego owszem. Chyba w odwecie kazał nam czekać na siebie kolejną godzinę, by podpisać się na dokumentach.

- Całkowicie straciłem pewność siebie. Jego polecenia były na tyle zwodnicze i niezrozumiałe, że bałem się podjąć decyzję, bo wiedziałem, że mu się jakaś nie spodoba. Z drugiej strony, jak kazał zrobić coś konkretnie, później za to ganił. To było błędne koło - opowiada Wiktor.

Jakub zaś dodaje, że szef wiele razy zapraszał go do siebie i przesłuchiwał, twierdząc, że inni policjanci go nie lubią, nie chcą z nim pracować. Śmieje się ironicznie, bo po czasie to nie robi już na nim takiego wrażenia. Wie, że wszystko, czego się nasłuchał, było wyolbrzymione albo zmyślone. - Gdy zaprzeczałem, pytałem, co dokładnie mówią, groził, że zapisze naganę w swoim zeszycie uwag. „Pan jest niewygodny, nie chcę mieć tu takiego. Szuka pan sobie nowej pracy, czy ja mam panu znaleźć?”, usłyszałem.

Słynny zeszyt uwag pojawia się w opowieściach wszystkich osób, z którymi rozmawiamy. Oficjalnie miał być narzędziem dyscyplinującym, czymś na pograniczu roboczych notatek przełożonego, w czym nie ma nic nadzwyczajnego, ale w praktyce stał się czymś znacznie więcej.

- To nie był zwykły zeszyt. To było narzędzie psychicznego nacisku - mówi jeden z funkcjonariuszy. - Nigdy nie wiedziałeś, co się w nim znajdzie i kiedy zostanie użyte przeciwko tobie.

Twierdzą, że to, co znajdowało się w notatkach Ryszarda J., nie zawsze kwalifikowało się do oficjalnych nagan. Określali to jako formę kontroli, a nawet zastraszania. W zeszycie lądowało wszystko, co naczelnik uznawał za dowód ataku, nieposłuszeństwa, były tam też plotki i insynuacje.

- Do końca życia będę pamiętał to jego słynne „dochodzą mnie słuchy...”, że np. sobie nie radzę, a koledzy nie lubią ze mną pracować. A jak mi się coś nie podoba, to mogę wypisać wniosek o przeniesienie. A gdy to zrobiłem, on to utrudniał. Mówił, że przeniosę się tam, gdzie on chce, a nie tam, gdzie ja - wspomina Jan.

Nazywali go diabłem

Niektórzy wytrzymywali z nim w pracy kilka lat. Inni odchodzili już po miesiącu. Jak wspomina Jan, który ostatecznie rozkaz przeniesienia do jawnej służby dostał bez ostrzeżenia, w ciągu 10 lat pracy przez wydział przewinęło się kilkunastu kierowników. W opinii naszych rozmówców przełożony nie tylko kontrolował. Dzielił. Jednych chwalił, innych poniżał. Budował nieufność w zespole. Zespół tracił spójność. Funkcjonariusze przestawali sobie ufać, a to, ich zdaniem, dawało przewagę przełożonemu, bo „skłóconym zespołem kieruje się najłatwiej”.

- Czasem z gniewu aż zgrzytał zębami. My na niego mówiliśmy diabeł, natomiast gdyby spotkał się z panią redaktor, byłby najmilszym człowiekiem na świecie. Kiedyś siedziałem w jego gabinecie i słuchałem jego wrzasków, nagle zadzwonił do niego telefon - opowiada nam Wojciech. - W sekundę zobaczyłem innego człowieka. Nie wiem, gdzie on upchnął całą tę złość, ale odebrał, jak gdyby nigdy nic. Gdy się rozłączył, jechał po mnie dalej.

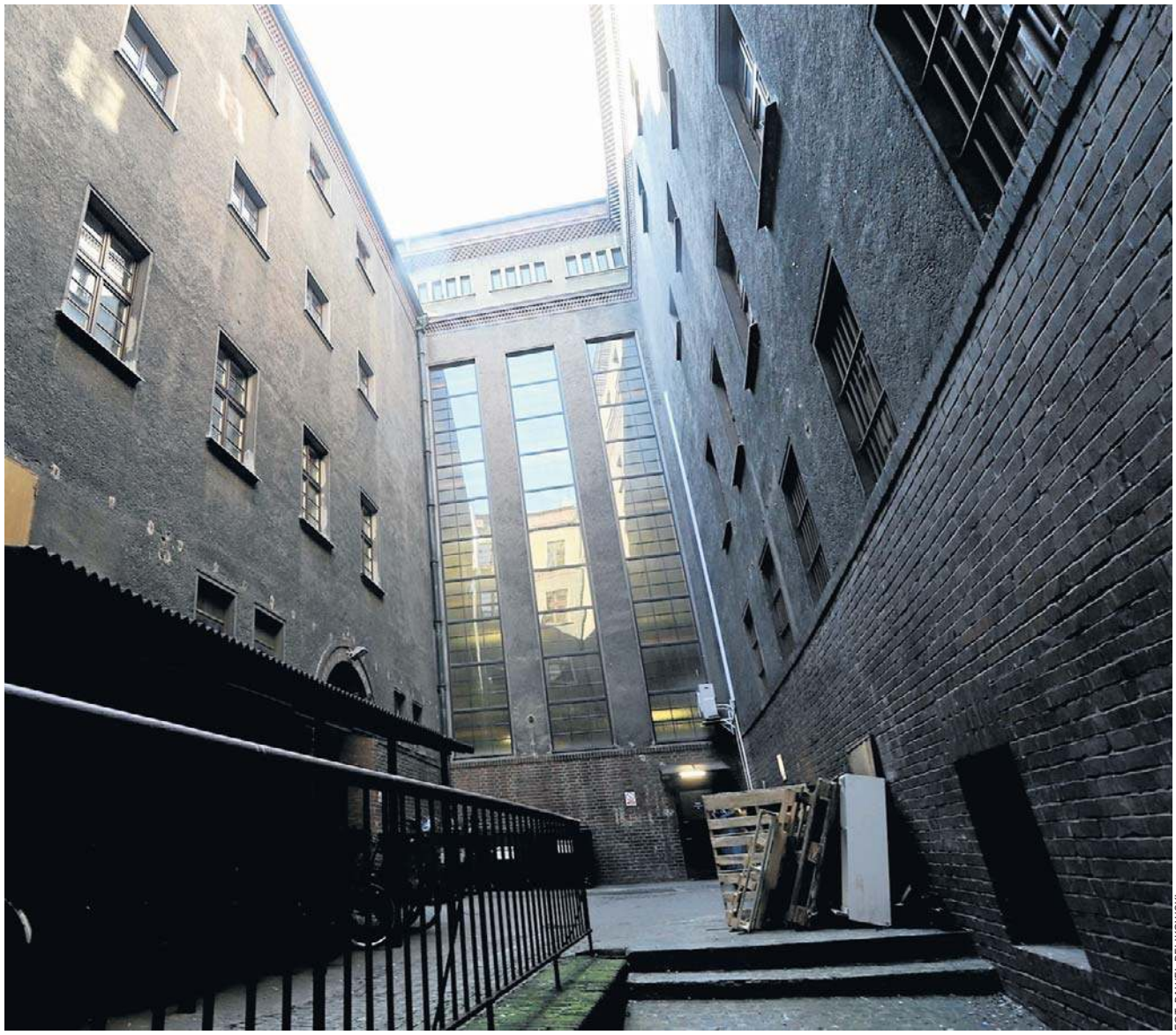
Sprawdziliśmy i faktycznie. Przez telefon brzmiał uprzejmie. Grzecznie wyjaśnił, że nie może odpowiedzieć na żadne z naszych pytań ze względu na prowadzone postępowanie. Był miły i rzeczowy, zgadzając się na rozmowę dopiero po zakończeniu sprawy.

Ta jedna ankieta

Kilka lat temu postanowili działać. Pisali skargi, które poskutkowały przeprowadzeniem ankiet (na zlecenie Komendanta KWP), w których pytano, czy naczelnik stosuje wobec pracowników mobbing. To miał być moment, w którym system zadziała i ochroni tych, którzy uważali się za pokrzywdzonych. Wypełnione ankiety nigdy nie powinny trafić w ręce osoby, której dotyczą. A jednak trafiły.

- W styczniu 2023 roku, kiedy mieliśmy wypełnić ankiety, ja dodałam jeszcze od siebie to, co myślę o naczelniku. Podzieliłam się swoim kilkuletnim doświadczeniem z nim, napisałam o moich obawach, o dyskryminacji i związanym z nią brakiem awansu - wyznaje Marianna (jedyna kobieta w sekcji). To właśnie ona, po tym jak wypełniła antymobbingowe dokumenty i napisała, co myśli o sposobie zarzą-

eprasa.pl 3c840005c8



FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Pełnomocnik pokrzywdzonych Małgorzata Dziewońska: - Z perspektywy pokrzywdzonych trudno dwutygodniowe zawieszenie w czynnościach służbowych podejrzanego przez komendanta odczytywać inaczej niż jako sygnał, że ich bezpieczeństwo nie jest priorytetem

dzania Ryszarda J., została wezwana na rozmowę do... Ryszarda J. - To był dla mnie szok. To zaprzeczenie zasad antymobbingowych w miejscu pracy. Absurd i poniżenie. To był cios. Naczelnik w złości wyciągnął kartkę, która była częścią mojej ankiety anonimowej i zaczął czytać z niej urywki zapisków. Takiej kartki nie powinien posiadać i nie wiem, w jaki sposób wszedł w jej posiadanie. Potem na komisji lekarskiej dowiedziałam się, że nie nadaję się do służby i zostałam przeniesiona „dla mojego dobra" - wspomina.

Trafiła do „zwykłej" komendy, co oznaczało koniec pracy w tajnym wydziale. Miesiące stresu spowodowały silną nerwicę. Dla niej sprawa zakończyła się odejściem z pracy wbrew jej woli, gdy na komisji lekarskiej usłyszała, że jest niezdolna do służby.

Zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa Marianna złożyła w sierpniu 2023 roku. W lipcu 2024 Prokuratura Rejonowa Wrocław Stare Miasto umorzyła sprawę. Złożyła zażalenie, które zostało uwzględnione. Śledczy uznali, że istnieje podejrzenie popełnienia przestępstwa. Na pierwszy termin ogłoszenia zarzutów naczelnik się nie stawił. Na wniosek jego pełnomocnika sprawa została przekazana do Prokuratury Rejonowej w Nysie, gdzie Ryszard J. 27 marca usłyszał zarzuty: z art. 207 kk (znęcanie się fizyczne lub psychiczne), w związku z art. 218 (złośliwe, uporczywe naruszanie praw pracownika) oraz w związku z art. 231 (przekroczenie uprawnień funkcjonariusza publicznego).

- Myślę, że najwięcej odwagi miała właśnie Marianna, to ona pierwsza ruszyła tę sprawę, składała kolejne wnioski, dzięki temu inni postanowili zeznawać - komentuje Paweł.

Zdaniem poszkodowanych ich szef do ostatniej chwili (przed usłyszeniem zarzutów) zachowywał się butnie i arogancko. - Pokazywał, że nikogo się nie boi, nawet prokuratora. I tu pojawia się kolejne pytanie, co na to komendant wojewódzki? Czy dalej będzie udawał, że tego nie widzi i nie słyszy? Jak sam mówi, stoi na straży przestrzegania zasad etyki zawodowej i mamy dowody, że potrafił zwolnić dwóch komendantów powiatowych i naczelnika wydziału, jeszcze przed sprawą w prokuraturze. A w tym przypadku? Dwutygodniowe zawieszenie - mówi Jakub. Rzeczywiście Ryszard J. po usłyszeniu zarzutów został zawieszony do 10 kwietnia. Jego obowiązki przejął zastępca. Po nazwisku Ryszarda J. nie został ślad w oficjalnych publikacjach na temat kierownictwa.

Jak wyjaśnia adwokat reprezentujący jednego z policjantów, zarzuty opisują coś więcej niż mobbing. - Nie mówimy tu jedynie o nierównym traktowaniu pracownika, np. pod względem pensji. Z perspektywy prawa zachowanie Ryszarda J. można już zakwalifikować jako przestępstwo Kodeksu karnego, bo znacznie przekracza ramy typowego mobbingu - ocenia mecenas Maciej Kuczaj.

Śledczy już przesłuchali świadków, część z tych osób uzyskała status pokrzywdzonych. Są także dowody rzeczowe, m.in.: dokumentacja medyczna, wyniki z Biura Spraw Wewnętrznych, ankiety mobbingowe i inne materiały, które dotyczą nieprawidłowości zgłaszanych przez pracowników jednostki.

- W toku postępowania mogą zostać powołani biegli z zakresu psychiatrii. Podejrzewam, że pan Ryszard J. zgodnie z procedurą będzie poddawany takim badaniom - dodaje mecenas Kuczaj. Pytany, jak wytłumaczyć fakt, że funkcjonariusze wyspecjalizowani w pracy pod presją i w stresie dali się do tego stopnia zastraszyć? - Trudno sobie wyobrazić, w jakiej sytuacji znajdowali się ci funkcjonariusze, jakie musiało być natężenie zachowania ich przełożonego, skoro doświadczeni ludzie z kilkunastoletnim stażem, z definicji odporni na stres, załamywali się do takiego stopnia, że tracili zdrowie nie tylko psychiczne, ale i fizyczne - wyjaśnia mecenas Kuczaj i dodaje, że z punktu widzenia prawa, przypadek jest bulwersujący dlatego, że dzieje się za zamkniętymi drzwiami policji.

- W mojej opinii postępowanie organów kontrolnych Komendy Wojewódzkiej Policji nie jest w tym przypadku nastawione na wyjaśnienie sprawy oraz ochrony praw i interesów funkcjonariuszy, tylko tuszowanie wewnętrznych problemów tej jednostki. Jeżeli pracownik dokonuje zgłoszenia, przeważnie anonimowego, to wówczas wydział kontrolujący wszczyna procedury wyjaśniające. Tu jednak tak się nie stało - dodaje Maciej Kuczaj.

Drugi z pełnomocników reprezentujący pokrzywdzonych, Małgorzata Dziewońska mówi wprost: - Z perspektywy pokrzywdzonych trudno dwutygodniowe zawieszenie w czynnościach służbowych podejrzanego przez komendanta odczytywać inaczej niż jako sygnał, że ich bezpieczeństwo nie jest priorytetem. - Dwutygodniowe zawieszenie przy tak poważnych zarzutach nie daje żadnej realnej ochrony, podobnie jak aktualna decyzja o przeniesieniu do innego wydziału. To wciąż ta sama jednostka, te same zależności i te same możliwości kontaktu ze świadkami. Przeniesienie nie oznacza realnego odcięcia sprawcy od środowiska. W takich warunkach trudno mówić o poczuciu bezpieczeństwa czy swobodzie składania zeznań.

Z kolei obrońca Ryszarda J. uważa, że sprawa wcale nie jest taka oczywista. - Proces karny z definicji wymaga poznania szczegółowych dowodów i okoliczności sprawy, a także faktów podnoszonych przez stronę przeciwną, zwłaszcza iż sprawa dotyczy bardzo długiego okresu oraz wydziału w Komendzie Wojewódzkiej Policji, który z uwagi na charakter i stopień skomplikowania procedur wymaga, by podchodzić do kwestii w sposób bardzo drobiazgowy i przemyślany. Z tego względu na tym etapie mój mocodawca nie złożył wyjaśnień. Analizujemy akta sprawy, które zostały udostępnione przez prokuratora. Sprawa się toczy. Osobiście jestem daleki od przyjmowania za prawdę wszystkich okoliczności podnoszonych przez wiele osób - mówi mecenas Przemysław Skoczek. Wskazuje też m.in. na brak konkretnych dowodów. Jego zdaniem nie jest to jedyny problem. - Linia oskarżenia opiera się na słowie. Spróbujemy niejako obalić nieprawdziwe argumenty i nietrafioną interpretację pewnych faktów drugiej strony, bo wiele okoliczności podważa ich prawdziwość, choćby okres 9 lat, podczas którego miało dochodzić do tych sytuacji. Takich skarg powinno być wiele. W mojej ocenie jest to nielogiczne - dlaczego nagle, po tak długim czasie wszyscy uświadomili sobie, że byli gnębieni? Zwłaszcza że część tych funkcjonariuszy już nie pracuje w policji. I nagle się stali odważni? Bardzo łatwo jest kogoś oskarżyć. Mówimy tu o funkcjonariuszach, których obowiązują procedury, zawodowa dyscyplina i regulacje, które wymagają, by nieprawidłowości były raportowane. To powinno zostać potraktowane poważnie i w takich instytucjach, jak się komuś dzieje krzywda, to ma obowiązek raportowania - podsumowuje mecenas Skoczek.

KOMENTARZ KOMENDY WOJEWÓDZKIEJ

O komentarz do sprawy poprosiliśmy Komendę Wojewódzką Policji we Wrocławiu. Zadaliśmy szczegółowe pytania dotyczące opisywanego przez nas problemu. Biuro prasowe KWP udzieliło nam poniższej odpowiedzi:

Szanowna Pani Redaktor,
odpowiadając ponownie na przesłaną przez Panią korespondencję informujemy, że Komendant Wojewódzki Policji we Wrocławiu po otrzymaniu informacji o przedstawieniu w prokuraturze w Nysie zarzutów jednemu z funkcjonariuszy kadry kierowniczej podejrzanemu o popełnienie przestępstw w związku z wykonywaniem obowiązków służbowych, niezwłocznie podjął decyzję o zawieszeniu tego funkcjonariusza w czynnościach służbowych.
Korzystając z przysługujących mu uprawnień, podjął kolejną decyzję w sprawie tego funkcjonariusza i delegował go do pełnienia służby w innej komórce organizacyjnej KWP we Wrocławiu. Do czasu kompleksowego zakończenia sprawy i decyzji sądu, jeśli takie zapadną, będzie on realizował inne zadania niemające związku z działaniami o charakterze operacyjnym. (...)
Odnosząc się do kolejnego z pytań obejmującego zakresem prowadzenie badań ankietowych w kierowanej komórce organizacyjnej, uprzejmie informujemy, że były one przeprowadzone w 2023 roku i wnioski z nich płynące, dały podstawy do implementacji profilaktyki antymobbingowej m.in. w postaci szkoleń oraz konsultacji, na które zgłaszali się funkcjonariusze i pracownicy Policji w celu uzyskania wsparcia psychologicznego lub porady. Tego typu działania w dolnośląskiej Policji prowadzone są także obecnie.
Przekazanie większej ilości informacji nie jest możliwe w związku z obowiązującymi przepisami prawa oraz specyfiką realizowanych działań przez funkcjonariusza, a także pracowników objętych toczącym się w prokuratorze postępowaniem, gdyż wiązać by się to mogło z odpowiedzialnością karną.

Z poważaniem,
Sekcja Prasowa KWP we Wrocławiu

eprasa.pl 3c840005c8

Polska
Poniedziałek, 20.04.2026

Gdzie spotkasz samuraja? Na Zamku w Lublinie

25 kwietnia w Muzeum Narodowym w Lublinie ruszy wystawa „Czas samurajów", poświęcona życiu i kulturze japońskich wojowników

Mariusz Grabowski

Wystawa ukaże nam fenomen samurajów od momentu wykształcenia się tej grupy społecznej aż po jej upadek. Pomiędzy opowieści o honorze, lojalności i odwadze zostaną wplecione historie pełne krwawych intryg, zdrad i spisków. Co ciekawe, podobne samurajskie wystawy od wielu lat cieszą się w Polsce wielkim powodzeniem.

Wojownicy z ogładą

W Lublinie zobaczymy blisko 600 eksponatów, oryginalne zbroje i miecze samurajskie z Berlina, a także drzeworyty japońskich mistrzów. Pokaże ona samurajów nie tylko jako wojowników, lecz także jako ludzi sztuki, kultury i duchowości.

Samurajowie zostaną ukazani w znacznie szerszym kontekście niż ten znany z filmów czy gier. „Bardzo często, zwłaszcza elita samurajska, była znawcami sztuki. Zajmowali się kaligrafią, uczestniczyli w ceremonii herbacianej i tworzyli sztukę. To nie były tylko maszyny do zabijania - mieli też bogate życie duchowe" - przekonuje Maciej Drewniak, kustosz sekcji archeologii Muzeum Narodowego w Lublinie, współkurator wystawy.

Samuraj musiał wyróżniać się kulturą i wykształceniem: uczył się nie tylko czytać i pisać, doskonalił także sztukę kaligrafii, poznawał klasyczną literaturę chińską, japońskie opowieści wojenne oraz historię rodu swojego pana.

Patrząc na drzeworyty

Ekspozycja została podzielona na dwie części. Jedna będzie poświęcona drzeworytom wybitnych XIX-wiecznych artystów japońskich - Kuniyoshiego Utagawy i Hiroshige Andō. Gdy studiuje się ich drzeworyty widać, że z równą uwagą przedstawiają sceny bitewne, pojedynki czy legendarne wydarzeń z dziejów Japonii, jak ekspresyjne portrety wojowników („musha-e"), czy pejzaże z nurtu „ukiyo-e", czyli „obrazów przepływającego świata".

Ze względów konserwatorskich w połowie trwania wystawy grafiki zostaną wymienione, dzięki czemu odwiedzający będą mogli zobaczyć różne zestawy dzieł. Druga część skupi się na uzbrojeniu oraz codziennym życiu samurajów. Zwiedzający zobaczą m.in. kompletne zbroje, miecze, łuki oraz elementy wyposażenia wojowników. Na wystawie pojawi się także fragment pawilonu herbacianego.

Są też samurajki

Wątek herbaciany naprowadza na tę część wystawy, która odnosi się do życia codziennego, religii, rozrywki i sztuki. Zabytki z zakresu rzemiosła artystycznego pokażą niezwykły kunszt japońskich rzemieślników, stosowane przez nich techniki zdobnicze oraz wzory przepełnione bogatą symboliką.

Owe aktywności nie były przypadkowe. „Pozwalały rozwijać cierpliwość, precyzję i spokój umysłu, co było niezwykle ważne dla wojownika" - uzupełnia Mariola Tymochowicz z Działu Kultury Materialnej i Duchowej Muzeum Narodowego w Lublinie, współkuratorka wystawy.

Co ciekawe, na ekspozycji pojawi się także wątek kobiet w świecie samurajów. „Chcemy opowiedzieć, że były również samurajki, czyli wojowniczki. Kilka z nich zapisało się w historii Japonii i nawet dowodziło dużymi garnizonami" - podkreśla Tymochowicz. Pokazywane w Lublinie zabytki pochodzą z instytucji muzealnych w kraju i za granicą, w tym prezentowane po raz pierwszy w Polsce zabytki z Samurai Museum Berlin - Kolekcji Petera Janssena.

Ważka przewodnikiem

Oddzielną część ekspozycji stanowić będzie przestrzeń poświęcona wizerunkom samurajów w filmie, mandze i anime.. Dla najmłodszych przygotowano specjalną ścieżkę edukacyjną, której przewodnikiem będzie ważka (tonbo), symbol walki, siły, nieśmiertelności i radości.

„W kulturze Japonii ważka była bardzo popularna. W języku japońskim nazywana jest często »owadem zwycięzcą«, bowiem leci zawsze do przodu i nigdy się nie cofa. Dlatego tak bardzo podobała się samurajom i pasowała



FOT. CC

Symbolem pozycji samurajów były dwa miecze (długi miecz katana i średniej długości wakizashi, razem stanowiące komplet zwany „daisho")

do etosu bushido, czyli drogi wojownika" - tłumaczy Małgorzata Siedlaczek, kierowniczka działu edukacji Muzeum i trzecia z współkuratorek lubelskiej wystawy. Zwiedzaniu towarzyszyć będzie także audioprzewodnik w wersji dla dzieci i dorosłych.

Moda na Japonię?

Lubelscy samuraje nie są jedynymi, którzy w ciągu ostatnich lat pojawili się w Polsce. Zaczęło się w 2007 r., gdy w Muzeum Marii Konopnickiej w Żarnowcu ruszyła wystawa „Kultura samurajów w sztuce Japonii" - zaprezentowano wówczas eksponaty ze zbiorów prywatnych Kazimierza Krygowskiego. W 2012 r. w Krakowie, w Muzeum Manggha otwarto wystawę „Wyprawa do świata samurajów". Była uzupełnieniem innej ekspozycji Mangghi - „Skarbca wiernych wasali", czyli zestawu drzeworytów ilustrujących opowieść o 47 roninach.

Kim jest w kulturze japońskiej ronin? To wojownik, który stracił zwierzchnika lub został przez niego wyrzucony. Owych 47 herosów to bohaterowie jednej z bardziej znanych historii samurajskich, opartej na prawdziwych wydarzeniach, które miały miejsce w latach 1701 -1703 w Edo (dziś Tokio).

To wtedy jeden z panów feudalnych zaatakował i ranił mistrza ceremonii dworu szoguna, za co został skazany na popełnienie honorowego samobójstwa. Roninowie (samurajowie, którzy utracili pana) po niemal dwóch latach przygotowań dokonali zemsty na mistrzu ceremonii, którego uznali za przyczynę niesprawiedliwej w ich oczach śmierci pana.

Idźmy dalej śladami nadwiślańskich samurajów. W 2018 r. w gliwickiej Willi Caro otwarto ekspozycję stałą „Samuraj", złożoną z 94 pozycji, głównie militariów, grafik i fotografii, a także ceramiki i przedmiotów codziennego użytku. W 2023 r. w Warszawie pokazano „Miłość samurajów - kolekcję oryginalnych prac japońskich mistrzów drzeworytu. Z kolei w 2024 r. w Muzeum Sztuki Dalekiego Wschodu w Kamienicy pod Gwiazdą w Toruniu, została zaaranżowana wystawa „Sztuka samurajów. Wystawa uzbrojenia japońskiego", zaś w 2025 r. w ratuszu w Sierpcu trwała wystawa „Czarka, kimono i miecz. Japonia w czasach samurajów".

Zwiedzający je mieli okazję przyjrzeć się japońskim militariom (m.in. mieczom katana, wakizashi, tanto i gardom mieczowym tsuba), wykonanym z wielką dbałością kimonom, dowiedzieć się, jak przebiegała ceremonia herbaciana, odkryć symbolikę teatrów klasycznych i drzeworytów, jak również dowiedzieć się na jakich zasadach opierała się kultura samurajów.

Dodatkowo w grudniu 2025 r. w Wydziale Informacji i Kultury Ambasady Japonii w Warszawie zaprezentowano autentyczne zbroje samurajów z epok Azuchi-Momoyama i Edo.

Samuraj, czyli kto?

Wszystkie te wystawy (było ich znacznie więcej, choćby człuchowska wystawa „Samuraje - Rycerze dawnej Japonii" z 2015 r. czy radomska „Kwiaty Wiśni - Samuraje" z roku 2023) dowodzą, że zainteresowanie egzotyką japońską jest nad Wisłą dość żywe. W jego centrum znajduje się właśnie postać samuraja - feudalnego rycerza, która rozpowszechniona została na Zachodzie, a w Japonii przeważnie zwana „bushi". Z czasem termin rozszerzono do znaczenia „wojownik". Samuraj kierował się kodeksem honorowym zwanym „bushido" (tzn. droga wojownika). Bushido było wskazówką co do postępowania, swoistą ewangelią życia samuraja.

Symbolem pozycji samurajów były dwa miecze (długi miecz katana i średniej długości wakizashi, razem stanowiące komplet zwany „daisho") - ich noszenie było prawem i obowiązkiem japońskich wojowników. Główną zasadą była wierność swemu panu i bezwzględne mu podporządkowanie - co dotyczyło zarówno wojownika, jak i jego rodziny.

Po pierwsze: zasady

W walce samuraj nie mógł odczuwać lęku przed śmiercią (podobnie jak podczas popełniania seppuku, czyli rytualnego samobójstwa), nie mógł kapitulować w walce, bowiem byłoby to rozwiązanie niehonorowe.

Samuraje stanowili również elitę kulturalną. Wiedza ich była wszechstronna. Od dziecka kształceni byli w kierunku poznania bushido, uczono ich m.in. czytania, pisania, sztuki kaligrafii, literatury, muzyki, retoryki, taktyki, prawa, medycyny i matematyki. Wykładano im także poezję japońską i chińską - m.in. dlatego, by samuraj przed popełnieniem rytualnego samobójstwa mógł napisać pożegnalny wiersz - tzw. haiku.

Warto też wspomnieć o samurajach-chrześcijanach, elicie wojskowej XVI i XVII-wiecznej Japonii, która łączyła kodeks Bushido z religią. Najsłynniejszym z nich był bł. Takayama Ukon, który wolał wygnanie niż wyrzeczenie się wiary. Wielu z nich, jak np. przywódcy powstania Shimabara, poniosło śmierć męczeńską w wyniku prześladowań chrześcijan.

Wystawa „Czas samurajów", Zamek Lubelski, 25.04-27.09. Informacje: zamek-lublin.pl

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A., 04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl 3c840005c8

pod PARAGRAFEM

W KINACH

Sam przeciwko wszystkim!
24 kwietnia w kinach amerykański „Normal" w reż. Bena Wheatley'a. Opowiada historię tajemniczego Ulyssesa (Bob Odenkirk), który zostaje zmuszony do objęcia posady szeryfa w miasteczku Normal. Pewnego dnia lokalny bank zostaje okradziony. Dotarłszy na miejsce przestępstwa, bohater wpada na ślad spisku, w który zamieszani są wszyscy mieszkańcy Normal.

ZA TYDZIEŃ

Hipolit Starszak, czyli esbek niemal doskonały
Robił karierę w SB od lat 60. do stanu wojennego. Zdążył przesłuchać lub inwigilować najważniejszych działaczy opozycji demokratycznej



„Mord belwederski". Śmierć st. żandarma Franciszka Koryzmy

Mariusz Grabowski, pisk
redakcja@polskatimes.pl

Ta sprawa, prócz zaginięcia gen. Włodzimierza Zagórskiego i otrucia gen. Tadeusza Rozwadowskiego, należy do tzw. kanonu niewyjaśnionych spraw II RP.

Przedwojenna prasa, głównie ta narodowa, okrzyknęła śmierć Franciszka Koryzmy „Mordem belwederskim". Nie bez powodu: zastrzelono go w niewyjaśnionych nigdy okolicznościach, w nocy z 4 na 5 grudnia 1928 r. przed Belwederem. O samym Koryzmie nie mamy wielu informacji: od 1918 r. służył w wojsku, a w drugiej połowie lat 20. w 1. Dywizjonie Żandarmerii.

Sprawa jego śmierci już w latach 20. budziła gwałtowne kontrowersje. Wszak był w nią osobiście zamieszany marszałek Józef Piłsudski. Może właśnie to sprawiło, że do dziś zresztą historycy nie są zgodni co do przebiegu wydarzeń.



Józef Piłsudski kładzie pasjansa w Belwederze. Mieszkał tam w latach 1918-1922 oraz po zamachu majowym: od 1926 r. aż do śmierci 12 maja 1935 r.

Ziuk na celowniku

Prof. Andrzej Garlicki, specjalista od dziejów dwudziestolecia, o sprawie Koryzmy pisał w „Siedmiu mitach drugiej Rzeczypospolitej" tak: „Bezsporne wydają się następujące fakty. Tej nocy Marszałek spał w gabinecie na górze. Około godz. 1.30 Aleksandra Piłsudska usłyszała strzał - gdy zapytała, co się stało, powiedziano jej, że zabity został Koryzma (...) Jedna z późniejszych hipotez mówiła, że Koryzmę zastrzelił przypadkowo sam Piłsudski, przekonany, że to dybiący na jego życie zamachowiec".

Fakty? Jak dowiodło śledztwo, Piłsudski tej nocy spał na piętrze, w swoim gabinecie. Gdyby nawet, co mało prawdopodobne, zobaczył z gabinetu jakiś cień w otaczającym budynek parku belwederskim i odruchowo doń strzelił, to musiałby rozbić szybę w oknie, bowiem - jak słusznie zauważyli śledczy - „trudno zakładać, że w grudniową noc okno było otwarte".

Od nocnych strzałów w Belwederze zatrzęsła się cała Polska. Historyk i piłsudczyk Wacław Jędrzejewicz napisał wręcz o spisku: „W czasie, kiedy został zastrzelony Koryzma, ochrona Marszałka należała do żandarmerii. Lecz do ochrony pretendował również Urząd Śledczy Policji Państwowej w Warszawie. Wszystko wskazuje na to, że tam właśnie zrodził się pomysł, by wykazać, że ochrona żandarmerii nie jest dostateczna i skompromitować płk. Maka-Piątkowskiego. Użyto do tego konfidenta Franciszka Sieczkę, który swego czasu był w ochronie Belwederu i znał teren pałacu".

Podejrzany Kossowski

Wróćmy do tamtej feralnej nocy. Wedle ustaleń śledczych, około godz. 2.45 w nocy w parku usłyszano strzały, jeden z oficerów wkrótce potem znalazł leżącego w kałuży krwi Koryzmę. Ciało znaleziono ok. 30-40 metrów od schodów pałacu, na jednej z alejek. W oku i czole żandarma utkwiły dwa pociski, jak się później okazało - stalowe.

Ze względu na bliskość Belwederu, w którym mieszkał Piłsudski, na miejsce natychmiast sprowadzono dowódcę Żandarmerii Wojskowej płk. Mieczysława Piątkowskiego oraz naczelnika Urzędu Śledczego Wacława Suchenka-Sucheckiego.

„W celu schwytania mordercy rozpoczęto przeszukiwanie Belwederu i okolic. Po kilkudziesięciu minutach na terenie parku Sobieskiego złapano niejakiego Stefana Kossowskiego. (...) Miał przy sobie potencjalne narzędzie zbrodni - rewolwer Smith & Wesson" - napisał Kamil Suchański w artykule w „Newsweeku" „Zabójstwo w Belwederze. Największa zagadka II Rzeczypospolitej".

Kim był Kossowski? Ustalono, że do sierpnia 1927 r. podejrzany pracował jako wywiadowca Oddziału II Sztabu Generalnego, przydzielony do służby przy Belwederze. Suchański dodaje: „Zwolniono go z powodu pijaństwa i awanturnictwa". Rok później w listopadzie Kossowski znalazł zatrudnienie w straży granicznej w Górze Kalwarii, jednak i stamtąd został usunięty. Urażony, chcąc dokonać krwawego odwetu, udał się na teren kompleksu belwederskiego, gdzie natknął się na Koryzmę.

Sam podejrzany nie przyznawał się do winy, twierdząc, że w chwili popełnienia zbrodni przebywał przy Dworcu Głównym, a po drodze spotkał m.in. samego gen. Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego".

Ofiara porachunków

Tymczasem nieprzychylna piłsudczykom prasa podniosła inny wątek zagadkowej sprawy. Plutonowy Koryzma musiał zginąć, bowiem wiedział za dużo o tajemniczym zaginięciu generała Włodzimierza Zagórskiego, osobistego wroga Piłsudskiego jeszcze z czasów austriackich.

Pytanie zasadne i skłaniające do wniosku, że żandarma Franciszka Koryzmę łączyło z gen. Włodzimierzem Zagórskim tylko jedno - tajemnicza śmierć. Pewnie dlatego ten polityczny trop śledztwa dość szybko porzucono i zajęto się Kossowskim. Ale i tu pojawiły się trudności.

Znalezione podczas sekcji zwłok w ciele ofiary pociski nie pasowały do rewolweru Smith & Wesson znalezionego przy Kossowskim, do jego stóp nie pasowały także odciski znalezione na miejscu zbrodni, wobec czego wkrótce został zwolniony z aresztu. Dochodzenie przekazano następnie wojskowemu sądowi okręgowemu i objęto klauzulą tajności, co tylko zwiększyło ilość teorii spiskowych w prasie, która o oczyszczeniu Kossowskiego z zarzutów nie została poinformowana. Ten, uznany przez prasę za wroga publicznego, wkrótce wyjechał, a właściwie uciekł z kraju.

Pojawia się Sieczko

Można sobie wyobrazić grząski grunt, po którym błądzili śledczy. Zewsząd bowiem czyhały pułapki. Weźmy taki przykład: Felicjan Sławoj-Składkowski we wspomnieniach upierał się przy znanej nam hipotezie Jędrzejewicza, że śmierć żandarma była efektem rywalizacji między Policją a Żandarmerią o to, która ze służb powinna zajmować się ochroną Piłsudskiego. Zwłaszcza że dość sporą grupę mieli stanowić w Policji dawni bojowcy PPS.

Śledztwo przeciągało się, być może ze względu - jak sugerowali niektórzy wojskowi z otoczenia Marszałka - na obstrukcję samego urzędu śledczego. W jego toku pojawiła się kolejna dziwna postać - Franciszka Sieczki. Okazało się, że ów były gangster, oskarżany o dokonywanie wymuszeń i rozbojów, a jednocześnie współpracownik Urzędu Śledczego (był protegowanym Wacława Sucheckiego), też odegrał swoją rolę w tych wydarzeniach. Jego nazwisko zaczęło być odnotowywane w kronikach policyjnych.

„O wczesnym życiu Franciszka Sieczki - pisze Kamil Suchański - wiadomo było niewiele. Zajmował się krwawymi napadami i wymuszeniami. Z jego rąk miał zginąć m.in. Lucjan Groszyński, ślusarz z ul. Okopowej". „Sieczko otwarcie stał się agentem policji politycznej i paradował po ulicach Warszawy w aucie pana komisarza Suchenka" - komentowała socjalistyczna „Pobudka" w 1929 r.

Według danych Urzędu Śledczego tuż po morderstwie Koryzmy Sieczko otrzymał urlop okolicznościowy. Indagowana w tej sprawie przyjaciółka Sieczki oświadczyła, że nie widziała go od 5 grudnia, a ten twierdził wtedy, że nigdzie się nie wybiera.

Sieczko rzekomo powrócił po trzech dniach z ustalonym alibi, ale szczegóły jego zeznań nie są znane, podobnie jak dalszy przebieg śledztwa. Został odwołany ze służby, ale już 10 grudnia otworzył - co brzmi groteskowo - knajpę w Śródmieściu.

Tu dygresja: w 1929 r. Suchenek-Suchecki został aresztowany w związku z aferą szpiegowską, a kilka miesięcy później Sieczko został zastrzelony przez jednego z sanacyjnych oficerów. Sprawy te nigdy zostały nagłośnione.

Czy Ziuk strzelił?

Kossowski, Sieczko, legioniści Marszałka, dawni bojowcy PPS, wreszcie policjanci - po upływie wieku wciąż nie wiadomo, kto strzelał do Koryzmy. Wygląda na to, że nikomu nie zależało na wyjaśnieniu zagadki. No i pozostaje sam Piłsudski, który w całej tej sprawie zachowywał się nader powściągliwie.

„Marszałek spędzał bezsenne noce, wypijając ogromne ilości mocnej herbaty i wypalając mnóstwo papierosów; zmęczony przechadzał się po pokojach Belwederu (...). Pewnej nocy miał zauważyć zarysowaną przy drzwiach na balkon sylwetkę ludzką. Mógł przypuszczać, że ktoś skrada się do pałacu" - pisał Marian Romeyko w książce „Przed i po maju".

Co było dalej? Czy Piłsudski strzelił? „Faktem jest, że Marszałek nie lubił osobistej ochrony. Codziennie z Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych wracał do Belwederu spacerkiem, samotnie, bez adiutanta. Ewentualna obstawa podążała ok. 50 metrów za nim, zachowując dyskrecję. Podobnie było z wartownikami. Musieli chronić budynek, nie zwracając uwagi Piłsudskiego. Ten mógł nie wiedzieć o bliskiej obecności żandarma i uznać go za intruza" - pyta w swym tekście Suchański.

Winie Marszałka zaprzecza także zdjęcie prezentujące zwłoki Koryzmy. Widać na nim ofiarę leżącą w alejce parkowej, 30-40 metrów od Belwederu. Nie było szans, aby zabił go strzał oddany z pomieszczeń pałacowych. Podobnie jak nie ma szans, aby zabójstwo dokonane na Koryzmie kiedykolwiek wyjaśniono.

eprasa.pl 3c840005c8

PKO Ekstraklasa Legia zepchnęła Zagłębie z pozycji wicelidera

Lech po kolejny tytuł. Pogoni i Widzewowi bliżej do 1. ligi

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

Dawno nie było tak wdzięcznego sezonu ekstraklasy. Weekend dostarczył kolejnych niezapomnianych wrażeń. Kolejny ważny krok do obrony tytułu mistrzowskiego wykonał Lech Poznań.



FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

Pomocnik Lecha Luis Palma próbuje minąć Kelly'ego Acostę i Fredrika Ulvestada z Pogoni

29. kolejka wystartowała na Górnym Śląsku. Mecz GKS Katowice z Motorem Lublin nie zawiódł ani trochę. Stał na wysokim poziomie, no i padło w nim aż pięć bramek. Gospodarze zgarnęli komplet punktów dzięki Emanowi Markovicowi. Norweg, kolega Erlinga Haalanda z kadry młodzieżowej, już po raz trzeci w sezonie i drugi z rzędu strzelił dwa gole. Mniej szczęścia mieli goście, którzy prędko stracili swojego bramkarza. Ivan Brkić po ledwie kwadransie został zniesiony na noszach do karetki. Do szpitala trafił z podejrzeniem pęknięcia żeber, a taka kontuzja oznacza jedno - koniec sezonu. Jego Motor może i nie zajmie miejsca w czołówce, za to istnieje spora szansa na to, że będzie mieć króla strzelców. Karol Czubak dołożył bowiem szesnastego gola. Ostatniego gwizdka nie doczekał, bo brat sędziego Szymona Marciniaka, Tomasz, wyrzucił go z boiska w konsekwencji dwóch żółtych kartek.

Ciasny, w stylu trenera Marka Papszuna okazał się zwycięski mecz jego Legii Warszawa nad Zagłębiem Lubin, rozstrzygnięty jeszcze w pierwszej połowie po golu Rafała Adamskiego. „Miedziowi" z powodu tego wyniku stracili pozycję wicelidera. Leszek Ojrzyński nie miał pretensji do swoich graczy, za to do sędziego z Japonii, Kokiego Nagamine, owszem. Stwierdził wręcz, że nie powinien prowadzić meczu o takiej temperaturze. Nie spodobało mu się również zachowanie bramkarza Legii, Otto Hindricha, który trzy razy położył się na murawę, by w czasie przerw sztab mógł przekazać wskazówki jego kolegom z pola. - Jesteśmy jedyną ligą w Europie, w której się to toleruje - wypalił Ojrzyński, apelując o zmiany w przepisach.

Pierwszą i to bolesną porażkę za kadencji Aleksandara Vukovicia poniósł Widzew Łódź. Skromne prowadzenie po samobójczym golu Christosa Donisa wypuścił bowiem w samej końcówce, pozwalając Radomiakowi Radom strzelić dwa gole po 82. minucie. Tego decydującego wbił Luquinhas. Łodzianie grzęzną na przedostatnim miejscu w tabeli. Kto wie, czy właśnie oni, po wydaniu przeszło 100 mln złotych na transfery, nie zlecą z hukiem do 1. ligi.

Wyborna atmosfera panuje natomiast w Górniku Zabrze. Po wywalczeniu awansu do finału Pucharu Polski zespół umocnił się na ligowym podium. Przeciwko Koronie Kielce kolegów z ofensywy postanowił wyręczyć Rafał Janicki. Stoper w drugiej połowie skutecznie główkował po rzucie rożnym, strzelając po raz drugi w sezonie.

W napięciu do samego końca, czyli przez ponad 100 minut, trzymał hit weekendu. Lech Poznań w Szczecinie długo grał swoje, czego potwierdzeniem okazały się bramki Antoniego Kozubala i Luisa Palmy. A jednak w końcówce najadł się strachu. Pogoń bowiem zdobyła kontaktową bramkę za sprawą Paula Mukairu. Mało tego, kiedy trener Niels Frederiksen wykorzystał już komplet pięciu zmian, to bolesne skurcze zgłosił debiutujący... bramkarz Płamen Andrejew, zastępca kontuzjowanego Bartosza Mrozka. - Staniesz na bramce?! - pytał zaskoczonego Roberta Gumnego, stopera w tym spotkaniu, wspomniany Kozubal. „Guma" zrobił duże oczy, ale ostatecznie nie musiał wyręczyć Bułgara, który tuż przed ostatnim gwizdkiem popisał się interwencją na wagę utrzymania wyniku. ©℗

29. KOLEJKA EKSTRAKLASY

GKS KATOWICE - MOTOR LUBLIN 3:2
Bramki: Marković 23, 45+3, Nowak 39 - Czubak 29, Wolski 49

LEGIA WARSZAWA - ZAGŁĘBIE LUBIN 1:0
Bramki: Adamski 29

RADOMIAK RADOM - WIDZEW ŁÓDŹ 2:1
Bramki: Alves 83, Luguinhas 90+3 - Donis 59 (bram. samob.)

GÓRNIK ZABRZE - KORONA KIELCE 1:0
Bramki: Janicki 71

POGOŃ SZCZECIN - LECH POZNAŃ 1:2
Bramki: Mukairu 80 - Kozubal 35, Palma 62

BRUK-BET TERMALICA NIECIECZA - WISŁA PŁOCK 1:3
Bramki: Zapolnik 88 - Nowak 37, Rogelj 39, Niarchos 52

RAKÓW CZĘSTOCHOWA - CRACOVIA 3:1
Bramki: Makuch 40, 61, Brunes 45 - Kameri 51

1. Lech Poznań	29	49	51-41
2. Górnik Zabrze	29	46	41-33
3. Wisła Płock	29	45	32-27
4. Zagłębie Lubin	29	44	13-11
5. Jagiellonia Białystok	28	43	44-35
6. GKS Katowice	29	43	42-40
7. Raków Czestochowa	28	40	37-35
8. Motor Lublin	29	39	39-43
9. Lechia Gdańsk	28	37	55-51
10. Radomiak Radom	29	37	45-43
11. Legia Warszawa	29	37	34-32
12. Korona Kielce	29	37	36-35
13. Cracovia	28	37	33-33
14. Pogoń Szczecin	29	37	39-44
15. Piast Gliwice	28	35	34-38
16. Arka Gdynia	28	34	30-47
17. Widzew Łódź	29	33	34-37
18. Bruk Bet Nieciecza	29	25	34-54

Program 30. kolejki
Piątek 24.04
Zagłębie Lubin - Bruk-Bet Nieciecza (godz. 18.00), Jagiellonia Białystok - Górnik Zabrze (godz. 20.30).
Sobota 25.04
Korona Kielce - GKS Katowice (godz. 14.45), Lechia Gdańsk - Raków Częstochowa (godz. 17.30), Cracovia - Pogoń Szczecin (godz. 20.15).
Niedziela 26.04
Wisła Płock - Radomiak Radom (godz. 12.15), Widzew Łódź - Motor Lublin (godz. 14.45), Lech Poznań - Legia Warszawa (godz. 17.30).
Poniedziałek 27.04
Piast Gliwice - Arka Gdynia (godz. 19.00).

JEDENASTKA KOLEJKI



NAJLEPSI STRZELCY

16 goli
Karol Czubak (Motor Lublin)
15 goli
Tomas Bobcek (Lechia Gdańsk)
13 goli
Mikael Ishak (Lech Poznań), Jonatan Brunes (Raków Częstochowa)
12 goli
Sebastian Bergier (Widzew Łódź)
11 goli
Jesus Imaz (Jagiellonia Białystok), Afimico Pululu (Jagiellonia Białystok)

BOHATER WEEKENDU

Eman Marković (GKS Katowice)
Norweski skrzydłowy, kolega Erlinga Haalanda, w ciągu ośmiu dni trafił 5 razy i zapisał asystę, licząc też występ w Pucharze Polski. W naszej lidze strzela tylko dubletami. Dwie bramki zdobył już po raz trzeci, ale pierwszy raz na Nowej Bukowej. W meczu z Motorem Lublin na wagę skrócenia dystansu do czołówki.



FOT. PAP/ART SERVICE

- To bardzo ważne zwycięstwo dla nas - trener Lecha. A co ze szkoleniowcem Pogoni?

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **W meczu 29. kolejki piłkarskiej ekstraklasy Lech Poznań wygrał na wyjeździe z Pogonią Szczecin 2:1 i umocnił się na pozycji lidera.**

- To był szalony mecz - przyznał trener piłkarzy „Kolejorza" Niels Frederiksen. Na pomeczowej konferencji prasowej nie pojawił się natomiast szkoleniowiec gospodarzy - Thomas Thomasberg.

Frederiksen przyznał, że jego zespół powinien pewnie wygrać, ale tak się nie stało. Poznaniacy już w pierwszej połowie mieli kilka okazji, by strzelić więcej goli, ale Mikael Ishak i jego koledzy hurtowo je marnowali. W 81. minucie Pogoń trafiła do bramki „Kolejorza" i końcówka okazała się bardzo emocjonująca.

- Mieliśmy wszystkie narzędzia, by rozstrzygnąć go bardzo szybko - stwierdził 55-letni Duńczyk. - W końcówce obraz się diametralnie zmienił. Byliśmy zepchnięci do obrony. Wygraliśmy i była to zasłużona wygrana. To bardzo ważne zwycięstwo dla nas.

Prowadzący szczecińską Pogoń, jego rodak Thomas Thomasberg, zamiast na spotkanie z mediami, udał się na rozmowę z... właścicielem szczecińskiego klubu Alexem Haditaghim.

Piłkarze Górnika Zabrze długo męczyli się z kielecką Koroną, ale w 71. minucie - po dośrodkowaniu Czecha Ondreja Zmrzlego z rzutu rożnego - najwyżej przed bramką gości wyskoczył obrońca Rafał Janicki i głową pokonał bramkarza Xaviera Dziekońskiego.

- Sami sobie zgotowaliśmy ten los - analizował trener Korony Jacek Zieliński. - W pierwszych 15 minutach dominacja Górnika była znacząca. Potem gra się wyrównała. Mówiłem, że nie będziemy mieć wielu okazji, ale te, które będą, musimy wykorzystać. Taka niewykorzystana sytuacja, kiedy wychodziliśmy trzech na jednego, nie powinna się zdarzyć. Ona zaważyła na końcowym wyniku, będzie się nam śniła po nocach.

Górnik nie przegrał żadnego z ostatnich sześciu ligowych meczów. Jest niepokonany od 28 lutego, kiedy uległ na wyjeździe GKS Katowice 1:3.

W dramatycznej sytuacji znajduje się Widzew, który wciąż nie może wydostać się ze strefy spadkowej, pomimo wielu zakupów...

W Radomiu Widzew prowadził po samobójczym trafieniu Greka Christosa Donisa. Ostatecznie uległ 1:2.

Trener Aleksandar Vuković nie miał wątpliwości, że zrealizował się najgorszy możliwy scenariusz dla jego zespołu.

- Gra była wyrównana, z kilkoma groźnymi okazjami z jednej i drugiej strony - wyjaśniał szkoleniowiec. - Wyszliśmy na prowadzenie. Mogliśmy kilka razy doprowadzić do sytuacji, aby podwyższyć na 2:0. Tego nie zrobiliśmy. Trzeba docenić kunszt zawodnika, który strzelił gola na 1:1. Widać było, że po wyrównaniu Radomiak uzyskał mentalną przewagę i doprowadził do zdobycia zwycięskiej bramki. ©℗

eprasa.pl 3c840005c8

Pietrzkiewicz: kiedyś bramkarz, teraz napastnik

Rozmawiał Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

Kiedyś bohater Stali Sanok, która w Pucharze Polski pokonała Legię. Bronił w ligach Czech, Słowenii, Azerbejdżanu, w naszej ekstraklasie tylko w jednym meczu. Dziś strzela gole w okręgówce.

Dawid Pietrzkiewicz, golkiper, który w listopadzie 2015 w Lidze Europy w barwach FK Qabala grał z Borussią Dortmund, dziś jest napastnikiem?

Dawid Pietrzkiewicz: Przede wszystkim grającym trenerem. Wyszło tak jeszcze przed poprzednim sezonem, że z konieczności musiałem występować w ataku i wszyscy przekonali się, że mam smykałkę do zdobywania goli. Taki ze mnie lis pola karnego, sporo trafiam z głowy i to naprawdę mnie cieszy. Jako dziecko lubiłem pokonywać bramkarzy, potem sam zostałem bramkarzem, ale było mi dane rywalizować ze świetnymi napastnikami. We wspomnianym meczu z Borussią w Dortmundzie pokonali mnie Marco Reus, Pierre-Emerick Aubameyang, którego niedawno oglądałem w spotkaniach Gabonu eliminacji mundialu i Henrikh Mchitaryan - kolega Piotra Zielińskiego z Interu. Grałem też z wieloma bardzo dobrymi atakującymi, w młodzieżówce moim kolegą był Robert Lewandowski, w Baniku Vaclav Sverkos, w Rakowie - Felicio Brown Forbes. Nawet grubo po trzydziestce można się przestawić z bramki do ataku. W poprzednim sezonie w klasie A strzeliłem 35 goli w 24 występach, w obecnym mam już 15. Myślę, że dałbym sobie radę w czwartej lidze. W LKS Zarszyn nie mówi się o awansie, gramy dla przyjemności, cieszymy się futbolem.


FOT. ANDRZEJ BANAŚ

Dawid Pietrzkiewicz bronił bramki Sandecji Nowy Sącz w meczu z Cracovią w 2018 roku

Co daje więcej przyjemności – strzelanie goli czy bronienie?

Najgorsze jest siedzenie na ławce rezerwowych, na każdym poziomie rozgrywkowym. W młodzieżówce siedziałem kiedyś na ławce z Robertem Lewandowskim, to się zdarzyło, ale wtedy w U-21 mieliśmy bardzo mocny skład. Tak samo było w U-19, ten rocznik 1988 był w Polsce mocny - „Lewy", Kamil Glik, Maciek Korzym, Kamil Grosicki, Mateusz Cetnarski, Maciek Gostomski, Michał Gliwa, Błażej Augustyn, Patryk Małecki, Jacek Kiełb. Bronienie, szczególnie w najwyższych ligach krajowych, europejskich pucharach, z orzełkiem na piersi dawało wielką satysfakcję. W niższych ligach teraz wolę być napastnikiem. To już nie są takie czasy jak 20 lat temu, kiedy większość boisk była kiepska. Dziś mamy nawet na wioskach piękne płyty, super warunki, nic tylko grać. Występy i trenerkę w LKS Zarszyn łączę z pracą szkoleniowca bramkarzy w Stali Sanok, gdzie zajmuję się wszystkimi grupami, od najmłodszej do seniorów.

W Sanoku pamiętają, że byłeś jednym z bohaterów słynnego spotkania z Legią w Pucharze Polski z 2006 roku?

Sanok nie zapomni chyba nigdy tego meczu. Przyjechała Legia prowadzona przez Dariusza Wdowczyka z Janem Muchą, Grzegorzem Bronowickim, Miro Radoviciem, Tomaszem Kiełbowiczem, Piotrem Włodarczykiem i przegrała 1:2. Z Sanoka trudno się wybić, a my mieliśmy w Stali chłopaków z potencjałem. Wówczas to potwierdziliśmy i zrobiło się o nas głośno. Potem postawiliśmy się Arce Gdynia, przegraliśmy po dogrywce.

Rozegrałeś tylko, czy aż jeden mecz w polskiej ekstraklasie?

Liczyło się na więcej, ale najlepszy czas swojej przygody z piłką spędziłem w klubach zagranicznych. Do Banika Ostrawa sprowadzał mnie dobrze znany w Polsce Werner Licka, moim szkoleniowcem bramkarzy był słynny Pavel Srnicek, legenda Premier League, którego zaskakującą śmierć mocno przeżyłem. Miałem przyjemność zagrać tam z Markiem Jankulovskim, gwiazdą europejskiej piłki, który doznał poważnej kontuzji i musiał zakończyć karierę. W Baniku zmierzyłem się towarzysko z Andży Machaczkała z Roberto Carlosem w składzie. To było niesamowite, tak jak gra w Lidze Europy w FK Qabala. W tym klubie dyrektorem sportowym był Tony Adams, ikona Arsenalu i reprezentacji Anglii, kolejna wielka postać spotkana przeze mnie na futbolowym szlaku.

Jubileuszowy gol Zielińskiego, Żukowski nie zatrzymuje się w Niemczech

Bartosz Głąb
redakcja@polskapress.pl

W miniony weekend w zagranicznych ligach wyróżniło się kilku polskich piłkarzy, ale szczególną uwagę przykuwały występy Piotra Zielińskiego i Mateusza Żukowskiego.

Największym wydarzeniem weekendu z polskiej perspektywy można chyba uznać jubileuszowy gol Piotra Zielińskiego we włoskiej Serie A. Reprezentant Polski piątkowy mecz Interu Mediolan z Cagliari Calcio rozpoczął na ławce rezerwowych. Pojawił się na placu gry w 76. minucie, a kwadrans później cieszył się z przepięknego trafienia w samo okienko bramki.

To szczególny gol dla doświadczonego polskiego pomocnika, ponieważ dokładnie pięćdziesiąty we Włoszech, dzięki czemu został samodzielnym liderem w klasyfikacji najlepszych polskich strzelców w historii Serie A. O 1 trafienie mniej ma Arkadiusz Milik, który aktualnie znów zmaga się z kontuzją i latem najprawdopodobniej opuści Juventus FC.

Piotr Zieliński tylko w tym sezonie trafił już 7 razy dla włoskiego giganta. Po raz ostatni zanotował tyle goli w sezonie 2022/2023, kiedy to wraz z SSC Napoli zdobywał mistrzostwo Włoch. Teraz również z Interem Mediolan sięgnie po tytuł, gdyż Nerazzurri mają aż 12 punktów przewagi nad wiceliderem, a do końca rozgrywek pozostało już tylko 5 kolejek.

SERIE A

33. kolejka: Sassuolo - Como 2:1, Inter - Cagliari 3:0, Udinese - Parma 0:1, Napoli - Lazio 0:2, Roma - Atalanta 1:1.


FOT. IPA SPORT/ABACA/EAST NEWS

Piotr Zieliński w meczu Inter Mediolan - Cagliari zdobył swoją 7. bramkę w tym sezonie i 50. na włoskich boiskach

Pozostając przy skutecznych polskich zawodnikach, musimy przenieść się na zaplecze niemieckiej Bundesligi, gdzie furorę wciąż robi Mateusz Żukowski. Jeszcze niedawno grający na pozycji obrońcy... napastnik 1.FC Magdeburg w sobotnie popołudnie strzelił swojego 17. gola w sezonie i umocnił się w klasyfikacji strzelców 2b. Bundesligi.

Zespół Polaka wygrał 2:0 z Fortuną Duesseldorf i jest coraz bliżej utrzymania na drugim poziomie rozgrywkowym. Wydaje się jednak, że dyspozycja strzelecka Polaka sprawi, że ten w przyszłym sezonie zagra nie w 2. Bundeslidze, a raczej w elicie. Polski snajper wzbudza coraz większe zainteresowanie mocniejszych klubów i letni transfer wydaje się niemal pewny. Pytanie, ile 1.FC Magdeburg zarobi na 24-latku, który ma w CV spadek ze Śląskiem Wrocław.

W Niemczech warto odnotować, że Kamil Grabara był o włos od zachowania czystego konta w barwach VfL Wolfsburg, co w tym sezonie nie jest łatwym zadaniem. Popularne Wilki od początku rozgrywek tylko 2 razy nie straciły gola, a w sobotnim meczu przeciwko Unionowi Berlin do 85. minuty prowadziły 2:0. Wtedy, niestety dla polskiego bramkarza, gola kontaktowego strzelił szkocki napastnik Oliver Burke.

Natomiast w „polskim" meczu St. Pauli zremisowało 1:1 z Koeln. W barwach tych pierwszych całe spotkanie rozegrał Arkadiusz Pyrka, natomiast u drugich również cały mecz zaliczył Jakub Kamiński. Wynik spotkania jest ważny w kontekście walki o utrzymanie. Drużyna z Kolonii utrzymała 5 punktów przewagi nad miejscem zagrożonym grą w barażach, na którym znajduje się właśnie ekipa St. Pauli.

BUNDESLIGA

30. kolejka: St Pauli - Koeln 1:1, Werder Brema - Hamburger SV 3:1, Union Berlin - VfL Wolfsburg 1:2, TSG Hoffenheim - Borussia Dortmund 2:1, Bayer Leverkusen - Augsburg 1:2, Eintracht Frankfurt - RB Lipsk 1:3.

W weekend czas na odpoczynek w Hiszpanii mieli Robert Lewandowski i Wojciech Szczęsny. Cała kolejka La Liga została przesunięta na środek tygodnia ze względu na finał Pucharu Króla, z którym Real Sociedad pokonał po rzutach karnych Atletico Madryt. W podstawowym czasie gry był remis 2:2.

PUCHAR KRÓLA

Finał: Atletico Madryt - Real Sociedad San Sebastian 2:2, k. 3:4.

W Portugalii Cezary Miszta, który był rewelacją poprzedniego sezonu, wreszcie doczekał się powrotu do bramki Rio Ave. Polak od połowy stycznia najpierw był poza kadrą portugalskiej ekipy z powodu kontuzji, a później przez ponad miesiąc zasiadał tylko na ławce rezerwowych. Teraz wreszcie wrócił do wyjściowego składu, a jego drużyna zremisowała u siebie 2:2 z Avs Futebol.

Natomiast w Turcji przypomniał o sobie Mateusz Łęgowski, strzelając gola na wagę wyjazdowego zwycięstwa Eyupspor 2:1 z Karagumruk. Polak wpisał się na listę strzelców pod koniec pierwszej połowy, a ogółem było to jego drugie trafienie w obecnym sezonie. Wychowanek Pogoni Szczecin trafił do Turcji latem ubiegłego roku z włoskiej Salernitany i w nowej ekipie jest ważną częścią zespołu. Portowcy w 2023 roku sprzedali go do Włoch za 3 mln euro.

©℗

PREMIER LEAGUE

33. kolejka: Brentford - Fulham 0:0, Newcastle United - Bournemouth 1:2, Leeds -United Wolverhampton Wanderers 3:0, Tottenham Hotspur - Brighton & Hove Albion 2:2, Chelsea Londyn - Manchester United 0:1.

LIGUE 1

30. kolejka: Lens - Toulouse 3:2, Lorient - Olympique Marsylia 2:0, Angers - Le Havre 1:0, Lille - Nice 0:0.

eprasa.pl 3c840005c8

Szwabska metropolia koszmarem Igi Świątek

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

TENIS. **Co się dzieje? Nie pomaga zmiana trenera, nie pomaga zmiana otoczenia. Iga Świątek wciąż nie przypomina tenisistki sprzed miesięcy, kiedy tygodniami liderowała w rankingu światowym WTA.**

W ćwierćfinale turnieju tenisowego WTA 500 - Porsche Tennis Grand Prix (pula nagród: 1 206 446 dolarów), rozgrywanego na kortach ziemnych w Stuttgarcie, Iga Świątek nie sprostała 18-letniej Rosjance z Krasnojarska - Mirrze Andriejewej, przegrywając w 2 godziny i 35 minut 6:3, 4:6, 3:6...

Nasza tenisistka - triumfatorka imprezy w stolicy Badenii-Wirtembergii w 2022 i 2023 roku, po raz pierwszy startowała pod wodzą nowego trenera, Hiszpana Francisco Roiga. Rywalizację zaczęła od 2. rundy, pokonując Niemkę Laurę Siegemund 6:2, 6:3.

Później przegrała jednak z młodziutką Mirrą Andriejewą (za kilka dni, 29 kwietnia, kończącą raptem 19 lat), z którą ma niekorzystny bilans bezpośrednich pojedynków 1-3.

Mecz w Porsche Arena był bardzo zacięty. Pierwszego seta Raszynianka wygrała po 52-minutowej, twardej walce. Drugi padł łupem Andriejewej dzięki przełamaniu serwisu Polki w ostatnim, dziesiątym gemie. Niestety.

W decydującej partii Iga Świątek objęła prowadzenie 2:0 i miała break-pointa na 3:0, lecz piłka po zagraniu Rosjanki trafiła w linię. Jak się okazało, był to przełomowy moment spotkania.

Dziewiąta w rankingu światowym Mirra Andriejewa wyszła z opresji i wygrała pięć gemów z rzędu. Nasza tenisistka jeszcze zdobyła punkt przy własnym serwisie, ale po chwili serwująca rywalka nie dała jej szans, wykorzystując drugą piłkę meczową.

W krótkiej rozmowie na korcie Andriejewa przyznała, że nie wie, jaki element zdecydował o jej wygranej ze Świątek i musi porozmawiać o tym z trenerką, znakomitą w przeszłości hiszpańską tenisistką Conchitą Martinez.

- Kiedy grasz z tak doświadczoną i utytułowaną zawodniczką, jak Iga, to nigdy nic nie wiadomo - stwierdziła. - Bywam na korcie spięta, cały czas się uczę. Kiedy gram ofensywnie, to przeważnie odnoszę zwycięstwa.

Przegrana pozbawiła Świątek możliwości powrotu na trzecią pozycję na liście WTA. Gdyby wygrała z Andriejewą, wyprzedziłaby w rankingu Amerykankę Coco Gauff, która we wcześniejszym meczu ćwierćfinałowym uległa Czeszce Karolinie Muchovej 3:6, 7:5, 3:6.

Turniejem w Stuttgarcie Polka rozpoczęła najbardziej ulubioną, „ziemną" część sezonu w cyklu WTA. To miało być nowe rozdanie sześciokrotnej mistrzyni wielkoszlemowej - z nowym trenerem i po kilku miesiącach słabszej formy.

To najgorszy koszmar, jaki może przytrafić się czołowej tenisistce. - Muszę to przeżyć i znaleźć rozwiązanie - tłumaczy Iga Świątek

Impreza w mieście często nazywanym szwabską metropolią miała być otwarciem nowego rozdziału w karierze 24-letniej Polki. Załamania dyspozycji w trakcie ostatnich meczów określiła jako „najgorszy koszmar, jaki może przytrafić się czołowej tenisistce".

- Muszę to przeżyć i znaleźć rozwiązanie - wyjaśniała.

21 kwietnia rusza kolejny turniej, tym razem z cyklu WTA 1000 - Mutua Madrid Open z pulą nagród 8 235 540 euro. ©℗



FOT. PAP/EPA

Na razie zmiana trenera i konsultacje z Rafaelem Nadalem nie przynoszą Idze Świątek spodziewanych efektów

Piłka nożna Wspaniały doping i miasto pogrążone w chaosie

Gorący mecz w Kolumbii z perspektywy polskiego kibica

Bartosz Głąb z Kolumbii
redakcja@polskapress.pl

Piłka nożna w Ameryce Południowej to więcej niż sport. Jest niczym religia, a atmosfera na stadionie znacznie różni się od tej, którą znamy z europejskich stadionów. Jak to wygląda od środka? Postanowiłem to sprawdzić przy okazji pojedynku kolumbijskiego Junior FC z brazylijskim Palmeiras w rozgrywkach Copa Libertadores!



FOT. BARTOSZ GŁĄB

Atmosfera na meczach Copa Libertadores jest niepowtarzalna, inna niż w Europie

W pierwszej połowie kwietnia zainaugurowała faza grupowa Copa Libertadores, czyli południowoamerykańskiego odpowiednika europejskiej Ligi Mistrzów. Hegemonami na kontynencie są kluby z Brazylii i Argentyny i to właśnie one również w tym roku są faworytami do sięgnięcia po trofeum. Postanowiłem więc zobaczyć, jak rozgrywki inauguruje Palmeiras, finalista poprzedniej edycji Copa Libertadores.

Brazylijski gigant mierzył się na wyjeździe z aktualnym mistrzem Kolumbii sezonu zamknięcia - Junior FC. Drużyną, która ma siedzibę w mieście Barranquilla, gdzie urodziła się piosenkarka Shakira, ale z racji remontu stadionu mecze na arenie międzynarodowej rozgrywa w Cartagena de Indias, jednego z absolutnie najpiękniejszych miast całej Ameryki Południowej.

Bilet na spotkanie można było kupić wyłącznie w specjalnej kolumbijskiej aplikacji „W Arena", w której znajdują się wejściówki na różne mecze piłkarskie w tym kraju. Koszt? Trybuny za bramkami około 50 zł, trybuna wzdłuż boiska około 85 zł, natomiast ta główna, jedyna z dachem to 150 zł. Tanio nie jest, zwłaszcza dla lokalsów, gdyż minimalna miesięczna pensja w Kolumbii to około 1 700 zł, natomiast średnia to mniej więcej 3 400 zł.

Wszystkie bilety rozeszły się niczym świeże bułeczki, więc atmosfera zapowiadała się na znakomitą. Warto zaznaczyć, że przy zakupie wejściówek nie można było wybrać miejsca. Po prostu kupujesz bilet na interesującą Cię trybunę, a później siadasz na jakimkolwiek dostępnym krzesełku.

Wreszcie przyszedł wyczekiwany dzień meczu. Jak myślicie, ile wcześniej trzeba być pod stadionem, by spokojnie wejść na trybunę kilkanaście minut przed meczem? Ja byłem niecałe 2,5 godziny przed pierwszym gwizdkiem sędziego i... moim oczom ukazały się kilkusetmetrowe kolejki do każdej z trybun. Otóż do każdej z 4 trybun było tylko jedno wejście, a przy każdym z nich po 2 osoby ręcznie sprawdzały każdy bilet. Po wejściu w posiadanie informacji, która brama prowadzi do mojego sektora (żadna z trybun nie była opisana) i odczekaniu w „ogonku" około 1,5 godziny, wreszcie się udało! A skoro bilet sprawdzony, można przekroczyć bramę!

Za nią - kontrola bezpieczeństwa i za chwilę kolejna kontrola biletów. Tym razem już bez kolejki i bardziej po europejsku - skanerem. Uff, po niecałych 2 godzinach przeprawy wreszcie udało się wejść na trybunę. A około 40 minut przed spotkaniem środkowe części trybun były już nabite niczym pociąg do Kołobrzegu w okresie wakacyjnym. W takiej sytuacji przyszło zatem poszukać miejsca gdzieś bardziej w rogu, ale źle nie było, bo sam mecz był tylko dodatkiem do wielkiej latynoamerykańskiej przygody.

Im bliżej meczu, było coraz bardziej tłoczno, a ludzie nerwowo poszukiwali jakichkolwiek wolnych krzesełek. Gdy w zasięgu wzroku ich zabrakło, fani zaczęli siadać również na schodach... no cóż, zasady bezpieczeństwa w Ameryce Południowej to zupełnie inna historia, ale o tym może kiedy indziej.

Dobra, kilka minut do startu meczu, trybuny nabite do granic możliwości. Wreszcie piłkarze obu drużyn wychodzą na murawę, a na stadionie zaczyna się istny karnawał! Głośne i bardzo melodyjne przyśpiewki, fajerwerki niczym w nowy rok i oczekiwanie czegoś wielkiego, czyli zwycięstwa kolumbijskiej ekipy nad czołowym zespołem na kontynencie.

Co najbardziej odróżnia od europejskich stadionów areny południowoamerykańskie? Tutaj nie trzeba iść do sklepu po przekąskę lub napój. Po trybunach chodzą handlarze z lodówkami zaopatrzonymi w wodę, napoje gazowane oraz piwo. Inni mają chipsy oraz kawałki mango z solą i pieprzem...

O samym meczu nie ma sensu się rozpisywać. Gospodarze objęli prowadzenie w 5. minucie i trybuny wpadły w radosny szał. W pierwszej połowie ekipa Junior FC miała okazje na podwyższenie prowadzenia, ale im bliżej pola karnego rywala, piłkarze kolumbijskiego klubu byli coraz bardziej „elektryczni".

Po przerwie doświadczeni gracze Palmeiras doprowadzili do wyrównania i naciskali, żeby strzelić zwycięskiego gola. To się jednak nie udało i rywalizacja na karaibskim wybrzeżu Kolumbii zakończyła się podziałem punktów.

Po meczu w okolicach stadionu było stosunkowo spokojnie. Mnóstwo policji, gigantyczne korki i ludzie maszerujący w każdym kierunku, czyli nic nadzwyczajnego. Niestety, pod osłoną nocy w innych dzielnicach działy się dantejskie sceny. Fani lokalnego drugoligowego Realu Cartagena rozpoczęli krwawe polowanie na kibiców Junior FC, którzy przybyli na mecz z odległej około 130 km wspomnianej wcześniej miejscowości Barranquilla.

Dochodziło do ataków nożami i bójek ulicznych, a sytuacja wymknęła się spod kontroli służb porządkowych. W zamieszkach został zamordowany 31-letni kibic. Według lokalnych mediów był to ważny członek środowiska kibicowskiego (lider lokalnej grupy „barra") związanej z Junior FC. Zginął po ataku nożem w trakcie starć ulicznych...

Wizyta w pięknej Cartagena de Indias była niesamowitym przeżyciem naprawdę dużego piłkarskiego święta. Niestety, nocą owiany złą sławą kraj Ameryki Południowej pokazał także swoje najgorsze oblicze. Tak jednak wygląda współczesna - ta najprawdziwsza - Kolumbia. Z jednej strony - od pierwszego wejrzenia możesz zakochać się w entuzjazmie ludzi z zupełnie innym niż spotykany zazwyczaj w Polsce temperamentem. Natomiast chwilę później - dosłownie nieopodal - mogą rozgrywać się ludzkie dramaty...

eprasa.pl 3c840005c8

Sztuki walki Chalidow zdemolowany przez Pawlaka na gali KSW 117

„PLASTINHO" ZJADŁ „CANNIBALA"

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Paweł Pawlak (26-4-1) odniósł najcenniejsze zwycięstwo w karierze, nokautując Mameda Chalidowa (38-9-2) w czwartej rundzie walki wieczoru gali XTB KSW 117 na Torwarze w Warszawie.



FOT. KSW

Paweł „Plastinho" Pawlak niemiłosiernie obił Czeczena Mameda „Cannibala" Chalidowa

Obrońca mistrzowskiego pasa wagi lekkiej Paweł „Plastinho" Pawlak i legendarny pretendent Mamed „Cannibal" Chalidow rozpoczęli walkę wieczoru o tytuł ostrożnie, bez większych fajerwerków, czekając na błąd przeciwnika.

W stójce ograniczali się do kopnięć dolnych po nogach, rzadko decydując się na szarże ciosów na głowę i korpus.

Walka została przerwana w pierwszej i trzeciej rundzie, gdy 37-letni zawodnik Octopusu Łódź kopnął 40-letniego Czeczena w krocze.

W czwartej partii „Cannibal" starał się obalić Pawlaka, ale to zawodnik Octopusu Łódź ostatecznie wylądował na rywalu i z góry pracował łokciem i krótkimi ciosami. Chalidow próbował balachy, ale „Plastinho" zachował czujność. Kolejnymi bombami rozkwasił twarz uwięzionego przy siatce Czeczena. W ostatnich sekundach wykonał na głowę pretendenta serię brutalnych łokci. Chwilę przed gongiem sędzia zakończył walkę.

Pawlak obronił tytuł mistrza wagi średniej czwarty raz w karierze, śrubując serię zwycięstw do czternastu i pozostając niepokonanym od 2018 roku.

Dla 45-letniego Chalidowa była to pierwsza porażka w formule MMA od 2021 roku.

– Mamed jest największą legendą, ale to ja wygrałem i cieszę się ze zwycięstwa. Na pewno też buduję swoją legendę, ale z pewnością nie będę taką legendą, jak Mamed – skomentował swoje zwycięstwo szczęśliwy „Plastinho" i wskazał na stojącego obok syna Jakuba. – I jest tutaj mój syn, nie mogłem więc pozwolić sobie zrobić krzywdę, bo on na mnie patrzy. Jest moją największą motywacją życiową i to dzięki niemu wygrywam te walki. Bez niego byłbym nikim. I na pewno nie zaszedłbym tak daleko. Tak że dziękuję ci, Kubuś. Bardzo cię kocham.

Pawlak zapytany, czy walka sprawiła mu trudność, stwierdził: – Czy Mamed był taki ciężki, czy taki łatwy, czy taki średni? Ja nawet próbowałem go sprowadzić, to jak go złapałem w taką gilotynę i tak fizycznie czułem, że tak jest, dużo słabszy ode mnie.

Chalidow natomiast oddał mistrzowi, co mistrzowskie: – Jestem przyzwyczajony, że nie raz już przegrałem. Życie. Raz się wygrywa... Dwadzieścia razy się wygrywa, raz się przegrywa, trudno. No i tyle. Gratulacje dla Pawła, dla sztabu. Czym zaskoczył? No, spodziewałem się, że tak będzie pracował. Tylko, że jakoś... Wiedziałem, że taki styl ma, niewygodny, nieprzyjemny. Gdzieś tam trafił mnie bardzo dobrze, że troszeczkę mnie naruszył. Konkretnie mnie naruszył . No, mistrz to mistrz. Gratulacje dla niego – wyznał „Cannibal".©℗

Kowalski walczy w MŚ w snookerze. Porażka polskich piłkarek

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

W angielskim Sheffield trwają mistrzostwa świata w snookerze. Po raz pierwszy w historii w zawodach występuje Polak. W Anglii nasz kraj reprezentuje Antoni Kowalski, który w eliminacjach do turnieju głównego pokonał trzech rywali, zapewniając sobie niemal 100 tys. złotych.

Po pierwszym dniu meczu 1. rundy, Kowalski (69. miejsce w rankingu światowym) przegrywa ze słynnym Walijczykiem Markiem Williamsem (6) 3:6. Na pierwszą przerwę zawodnicy schodzili przy remisie 2:2. Kilkadziesiąt minut później obaj wygrali po jednym frejmie (3:3). Mecz został wznowiony w niedzielę o godz. 20.00, już po zamknięciu naszego wydania.

Każdy z 32 snookerzystów biorących udział w MŚ ma gwarantowaną premię w wysokości 20 000 funtów, czyli ok. 97 100 złotych.

Kolejna porażka polskich piłkarek

Piłkarki reprezentacji Polski przegrały w Dublinie z Irlandią 0:1 w 4. kolejce dywizji A Ligi Narodów i jednocześnie eliminacjach mistrzostw świata 2027. We wcześniejszych spotkaniach, w marcu Polska zremisowała z Holandią 2:2 i przegrała z Francją 1:4, a w ubiegły wtorek w Gdańsku uległa Irlandii 2:3. Biało-Czerwone z jednym punktem zajmują ostatnie miejsce w grupie. Prowadzi Holandia - 7, przed Francją - 6 i Irlandią - 6. Celem Polek jest utrzymanie w najwyższej dywizji Ligi Narodów. Do dywizji B spadną zespoły, które zajmą ostatnie miejsca w swoich grupach. Podopieczne Niny Patalon w 5. kolejce podejmą Francję 5 czerwca w Gdańsku, a cztery dni później zagrają na wyjeździe z Holandią.

Awans hokeistek

Hokejowa reprezentacja Polski kobiet z kompletem czterech zwycięstw wygrała w słoweńskim Bledzie mistrzostwa świata Dywizji 2A i awansowała do Dywizji 1B. W swoim ostatnim meczu Polki pokonały Słowenię 2:0. Drużyna prowadzona przez trenera Arkadiusza Sobeckiego wcześniej pokonała kolejno Australię 5:0, Islandię 4:1 oraz Tajwan 12:1. ©℗



FOT. INSTAGRAM ANTONI KOWALSKI

Antoni Kowalski jest pierwszym Polakiem, który bierze udział w turnieju głównym MŚ w snookerze



FOT. PAP/ADAM WARŻAWA

Polskie piłkarki coraz bliżej spadku do Dywizji B Ligi Narodów. W Dublinie nie dały rady reprezentacji Irlandii

Adam Godlewski

„Krótka piłka"



TO BĘDZIE NAJSŁABSZY MISTRZ?

Rozgrywki piłkarskiej ekstraklasy – wiadomo, są najbliższe każdemu kibicowi futbolu w Polsce. Niczym koszula ciału. A obecny sezon jest wyjątkowy, przy spłaszczonej tabeli rozgrywki będą trzymać w napięciu do ostatniej kolejki. Zarówno fanów, którzy interesują się przede wszystkim walką o tytuł i miejsca w kwalifikacjach europejskich pucharów, jak i tych skupionych na rywalizacji „o spadek" – jak zwykł mawiać śp. Franciszek Smuda.

Poziom emocji zafundowanych przez kluby naszej najwyższej ligi jest ewenementem, co przyciągnęło już uwagę zagranicznych mediów, ale nie dajmy się zwieść tej popularności – koń jaki jest, każdy przecież widzi. A nikt nie powinien nawet się łudzić, że oferowany w PKO Ekstraklasie poziom to towar luksusowy. Przeciwnie – podwyższone emocje pod naszą szerokością „robią" za zamiennik jakości, której próżno szukać.

Dlatego nie nastawiajmy się, że oto obserwujemy sezon przełomu. Bo naprawdę nic na to nie wskazuje (nawet jeśli aż dwa zespoły uzyskają przepustki do eliminacji Champions League, a w sumie pięć będziemy mieli w pucharach). Klubowy futbol made in Poland jest mocno przeciętny, a momentami siermiężny. Równanie nastąpiło w dół. I to zdecydowanie.

Nie ma żadnego zespołu, który cechowałaby stabilizacja na dłuższym czasowym dystansie, brakuje powtarzalności. Nawet Lechowi, który nawet jeśli już robi użytek z jakości kadry, to zawodzi pod względem skuteczności. Stąd wniosek, że siła mistrza, którego poznamy 23 maja, nie będzie za wysoka; nie można wykluczyć, iż będzie to najsłabszy mistrz w obecnej dekadzie.

Na domiar złego 7, 8 zawodników zagranicznych w wyjściowych składach to ligowa norma. Począwszy od pierwszego w tabeli Lecha, do przedostatniego Widzewa, z naprawdę nielicznymi wyjątkami. Od lat mówi się w Polsce o szkoleniu, inwestycje w akademie – nie tylko klubów ekstraklasowych – były w minionej dekadzie gigantyczne, ale – generalnie – brakuje konsekwencji i odwagi w promowaniu młodych Polaków w meczach o punkty. A przecież nie tylko Robert Lewandowski nie będzie grał wiecznie w reprezentacji, Piotr Zieliński także ma bliżej do mety niż startu. Z kogo zatem będą układać kadrę przyszli selekcjonerzy, jeśli nadal dominująca jest filozofia budowy zespołu na przepłacanych – najczęściej – stranierich?

Osobny przypadek, wręcz wzorcowe studium marnotrawstwa stanowi Widzew. Łódzki klub w dwóch minionych okienkach transferowych kupował nawet nie ilość, tylko na wariackich papierach. Tak jakby ktoś za wszelką cenę chciał przepalić kasę majętnego właściciela. Efekt? Łódzki klub – w którym aż roi się od dyrektorów wszelkiej maści (pytanie o samopoczucie panów Piotra Burlikowskiego i Dariusza Adamczuka w tym momencie), a trenerów zmieniano niczym rękawiczki – jest na najlepszej drodze do spadku. Wychodzi więc na to, że Robert Dobrzycki wszedł do ekstraklasy w sposób porównywalny do pozostającego do dziś synonimem nieuzasadnionej rozrzutności Józefa Wojciechowskiego. To znaczy chyba tylko po to, aby zepsuć w niej finanse, zaburzyć płacowe standardy.

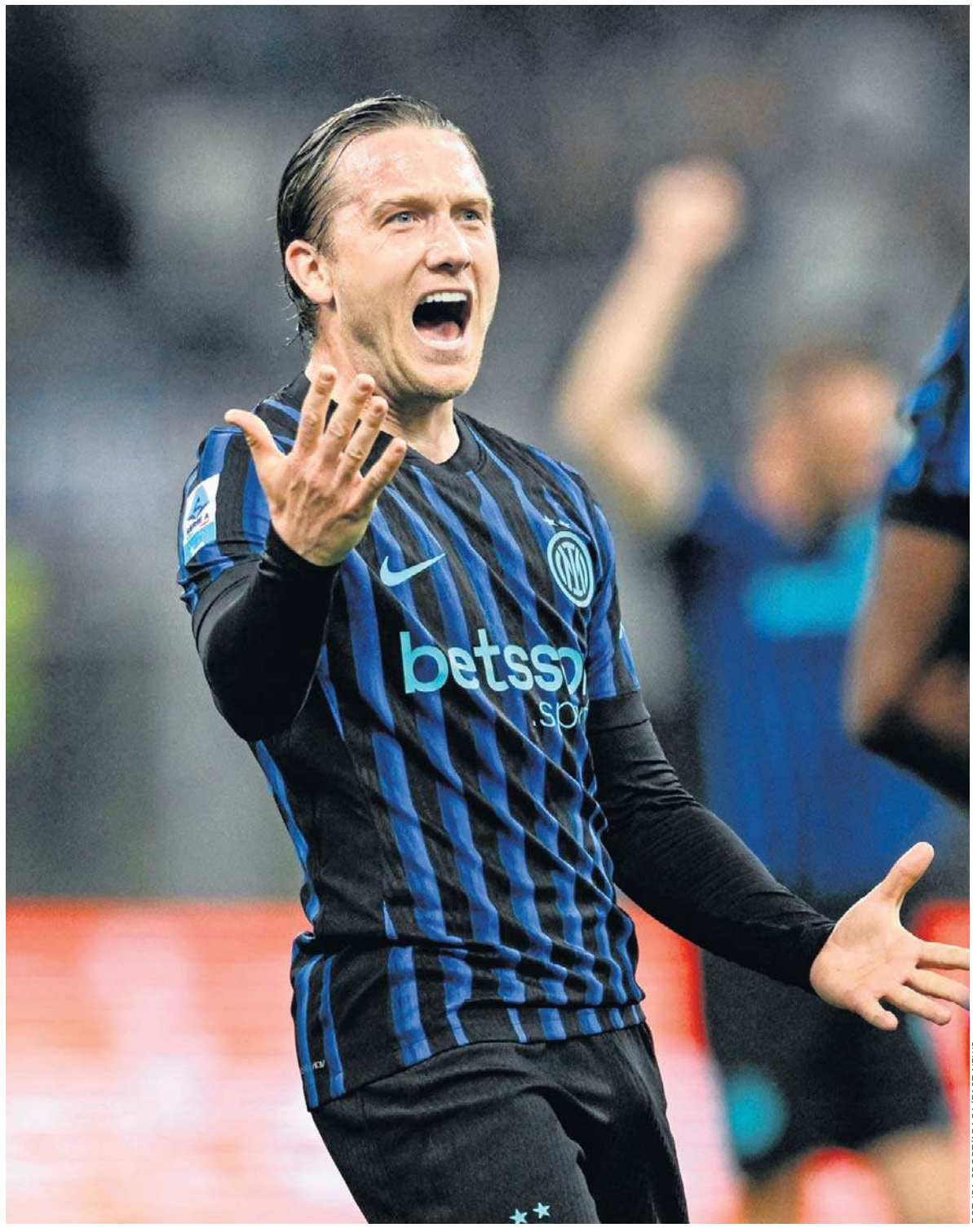
Fatalnie dla całego polskiego futbolu, że właściciel Widzewa postawił na tak nieudolnych doradców. Oby się nie zniechęcił...

eprasa.pl 3c840005c8

MAGAZYN

SPORTOWY 7-AMO.PL

Piotr Zieliński popisał się kapitalnym, jubileuszowym golem i ze swoim Interem Mediolan mistrzostwo Serie A ma już na wyciągnięcie ręki STR. 21



FOT. IPA SPORT/ABACA/EAST NEWS

Golazo Zielińskiego i Scudetto o krok

LECH IDZIE PO KOLEJNY TYTUŁ, A POGOŃ I WIDZEW BLIŻEJ 1. LIGI STR. 20

Iga Świątek opuściła stolicę Szwabii bez wymarzonego modelu Porsche 911 Carrera S STR. 22

Antoni Kowalski jest pierwszym Polakiem, który bierze udział w MŚ w snookerze STR. 23

eprasa.pl 3c840005c8